

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 7 CZERWCA 1930 ROKU

NR. 23

TREŚĆ NUMERU: Niewiasty kresowe — *Stefanja Podhorska-Okolów*. W Tuhanowiczach — *Janina Strzelecka*. Poezje: „Dworek“ — *Kazimiera Illakowiczówna*. Nieznany list Elizy Orzeszkowej. Babuńka — *M. H. Szpyrkówna*. Pięć miast wschodnich — *Jadwiga Krawczyńska*. Zabytki Pińska i jego okolice — *Wacław Husarski*. Na marginesie klasycyzmu wileńsko-włoskiego — *l. j.* Na nowogródzkim szlaku — *J. P.* Tkaniny ludowe Wileńszczyzny — *Jankowska-Orynżyna*. Kobieta w świecie i w domu. O kuchni kresowej — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“ Dodatek „Mody i roboty“: Nad morzem — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie“ — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

NIEWIASTY KRESOWE

Linja graniczna wschodnich rubieży Rzeczypospolitej najeżona jest dziś drewnianymi basztami o bliźniaczym profilu. To strażnice Korpusu Ochrony Pogranicza czuwają nad całością i bezpieczeństwem Kresów. Sylwetka wartownika, rzucona na tło niezmierzonego horyzontu — to symbol tych ziem, to hasło „Czuwaj!“, wrzeźbione czarnymi głoskami ludzkich postaci w blade niebo kresowe.

Te strażnice — to dzieło lat ostatnich, to narastające przedproża osiadłej w swych dziedzinach Rzeczypospolitej. Dawniej ich nie było. Sto pięćdziesiąt lat otworem stała ziemia kresowa dla najazdu i przemocy, bezkarnie hulały po niej wichry wschodnie od lodów i tajg Sybiru, dławiając oddech w piersiach, mroząc dusze, paraliżując odruchy życia.

A jednak ziemia ta nie była bezbronna. Bo nad polskością jej ducha, nad czystością gniazd rodzinnych, uwitych pod piorunami, nad nietykalnością granic, znaczonych chyba wśród gwiazd, bo na ziemi dawno już ślad po nich zaginął — czuwała strażnica potężna, choć bezimienna: niewiasta kresowa. Dziś bez przesady mamy prawo powiedzieć, że nie komu innemu, ale właśnie jej, nasza kultura polska na Kresach, z konieczności przez długie lata zamknięta w pozorach ciasnym kole zainteresowań gospodarskich, domowych, rodzinnych i towarzyskich — zawdzięcza swoje istnienie i trwałość.

I nie tylko kultura, ale to, co rozstrzyga o jej sile i zasięgu: polski stan posiadania. Każdy skrawek ziemi w polskich rękach — była to naówczas reduta, na której można było zginąć po walce do upadłego, ale z której nie wolno było się cofnąć, pod grozą utra-

ty dobrego imienia, cenionego na Kresach wyżej ponad klejnot rodowy, ponad bogactwa, zaszczyty i karierę, zdobytą za cenę uległości najeźdźcom.

Chytry nakaz zaborcy zabraniał polakom nabywania ziemi na Kresach. Prawo to wyłącznie przysługiwało rosjanom, którzy łakomym okiem spoglądali zarówno na prastare rezydencje, na pańskie latyfundja, na niezmierzone lasy obszarników, jak i na pięknie zagospodarowane klucze ziemiańskie, na żyzne łąki i sady, na wzorowe obory i stadniny, na młyny, gorzelnie i tartaki — na dorobek, budowany znojem, troską i ofiarnością całych pokoleń.

Wiedzano dobrze, że ziemia, która raz przeszła z rąk polskich w ręce obce, nie wróci już nigdy do pierwotnych posiadaczy. A toby się równało stopniowej zagładzie polskość na Kresach. Więc trzymano się tej ziemi kurczowo, instynktem rośliny, która wrosła w nią wszystkimi korzeniami swego istnienia — świadomością obywatela, który kosztem własnej wygody i korzyści, często i dobra najbliższych, działał w imię niepisanego prawa zbiorowości, pod komendę sumienia narodowego. Szczęścia nie szukał, „bo go nie było w ojczyźnie“...

I tu właśnie, na placówkach najbardziej zagrożonych, tam, gdzie nawet bohaterstwo musiało przywdziewać zgrzebną szatę pospolitego obowiązku, a najszczytniejsza ofiarność stała się chlebem powszednim, tam osobistym przykładem, czynną zachętą, krzepiącą ufnością świecić musiała kobieta.

Płyty grobowe w świątyniach Wilna, Nowogródka, Pińska, Słucka, Witebska, Słonimia, sarkofagi w podziemiach grobów rodzinnych, budzone ze

snu wiecznego hukiem pękających granatów, które, jak dzwony wielkanocne, głosiły tej ziemi zmartwychwstanie w wolności, mogiłki bezimienne na zapadłych cmentarzach dalekiej Mohylewsczyzny, ziemi Mińskiej, Słuckiej, Mściśławskiej, nad którymi nikt już, prócz duchów, nie czuwa — ileżby one mogły powiedzieć o potędze i majestacie tych niekoronowanych królowych obowiązku, które zamiast purpury w głębi serca nosiły płomień niegasnącej miłości Ojczyzny!

Ale groby milczą. Tylko tradycje rodzinne mówią nam o cichych dramatach serca dziewczęcego, wyrzekającego się szczęścia z ukochanym dla ocalenia ojcowizny; o tych dzielnych prababkach, co w szesnastym roku życia niekochanym starcom oddane w zamęcie, umiały gorycz przedwczesnego weltszmercu zamknąć do panieńskiego sztambucha razem z zasuszonym kwiatkiem i wierszem Mickiewicza i codziennie konno objeżdżały dwanaście swych folwarków, bo tego chciała Ziemia, pani wszystkich dusz kresowych; mówią nam o złamanej dumie i rozdarciem sercu matek, które z uśmiechem na ustach poświęcały przyszłość synów i córek, ćwicząc ich zawczasu w twardej szkole wyrzeczenia się swego „ja“, aby tylko zagon rodzinny utrzymać.

I dopięły celu. Wytrzymały orlice kresowe aż do końca w swych gniazdach. Do skarbnicy wyzwolenia niosły ochotnie daninę swej krwi. Odwróciła się karta historii. Żywe ciało Kresów, poszarpane burzą wojenną, traktat ryski przeciął na dwoje. Jedna połowa mogła się odtąd rozwijać i kwitnąć w słońcu prawdziwej wolności, w drugiej polskość i kultura zostały skazane na zagładę.

I oto zaroily się wszystkie miasta i zakątki Rzeczypospolitej od uchodźców z dalekich Kresów Wschodnich. Popularnym stał się typ „pani kresowej“, energicznej, przedsiębiorczej, zaradnej, pełnej inicjatywy i pomysowości, nie cofającej się przed żadną pracą, choć przywykłej do gospodarstwa „szerokiej ręki“.

Żywioł kresowy szybko wsiąkł w krew miejscową, zasilając ją czerwonymi ciałkami energii, wzmagając jej tętno żywszym rytmem sił, dawniej rozproszonych po wielkich przestrzeniach, dziś skupionych na jednym punkcie centralnej roboty. Zmienił się warsztat pracy — rasa pozostała ta sama.

Tak jest i było z temi, którym rodzinne gniazda bezpowrotnie zabrano. A te szczęśliwsze, te, które w zmułnym trudzie dźwigają odwieczne siedziby z ruiny? Wolnemi są dziś ptakami na wolnej ziemi, już

nie przywiązane do gleby groźbą bezpowrotnej jej utraty, ale zespolone z nią dziedzicznym instynktem samoobrony od zalewu obcych żywiołów. Czuwa w Hruszowej niezłomna strażnica, czcigodna Marja Rodziewiczówna, jedna z ginącego pokolenia niewiast kresowych, które mają prawo na swoim sztandarze wypisać dumne wyzwanie: „Złamiesz, nie zegniesz!“.

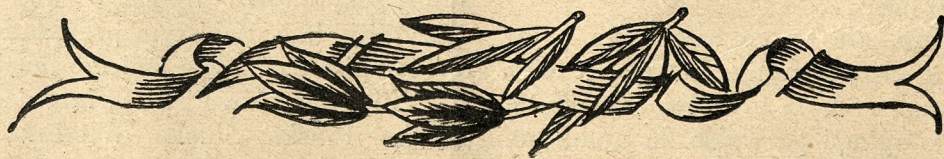
Kresy płodne były zawsze w rycerzy i poetów. Wykarmiły polski romantyzm. Jest coś w powietrzu tamtejszych stron, co budzi tęsknotę, co podrywa skrzydła do lotu. Zapomnieć o nich niepodobna. Wróci się do nich zawsze wspomnieniem. Są jak źródła, z których dusze twórcze, zmęczone ziemską wędrówką, przychodzą pić natchnienie. Są to dziś najczęściej dusze kobiece. Iłakowiczówna najpiękniejsze swe liiryki wysnuła ze wspomnień dzieciństwa, spędzonego nad Dźwiną. Kossak-Szczucka z Kresów rzuciła na całą Polskę „Pożogę“ tęsknoty za bohaterstwem. Szpyrkówna w „Słonecznym domku“ uwieczniła życie jednego z licznych dworzków kresowych, które dziś stało się już legendą. Wanda Miłaszewska, choć nie na Kresach urodzona, z zacisznej Grodzieńsczyzny na karty swoich powieści przenosi krajobrazy, typy i dwory kresowe. W Wilnie rośnie jak na drożdżach młode pokolenie literatek. Wszystkie przychodzą pić do tej krynicy przeszłości, którą stopniowo zarastają i ocieniają młode pędy nowoczesnego życia.

Zmieniły się zadania i potrzeby chwili dziejowej. Posłannictwo kobiety polskiej na kresach odmienne ma oblicze. Już nie o ochronę materialnego stanu posiadania dziś chodzi, ale o rozszerzenie zasięgu polskiej idei państwowej wśród rzesz, z kulturą zachodniojęzyczne bardzo luźno związanych.

Na horyzoncie tej nowej rzeczywistości polskiej na Kresach wschodzą dwie nieznane przedtem gwiazdy, dwie bojowniczkę naszego duchowego frontu: nauczycielka ludowa i żona osadnika wojskowego. My, mieszkanki stolicy, tylko ze słyszenia i z nielicznych listów znamy ich życie twarde, niemal obozowe, i stajemy w podziwiew wobec ich nadludzkiego trudu, bezgranicznej ofiarności, ewangelicznej prostoty.

Godne następczynie swych dzielnych poprzedniczek, witajcie nam, nowe strażnice kresowe! Jesteście świeżem ogniwem łańcucha, ciągnącego się przez wieki, placówką kultury, jaknajgłębiej wysuniętą w odmęt barbarji. Oby owoce waszego trudu były wam pokrzepieniem w dalszych wysiłkach dla dobra ziemi i ludzi.

Stefanja Podhorska-Okolów.





Tuhanowicze. Oficyna, zwana „murowanką”, doszczętnie zburzona.

JANINA STRZELECKA

W TUHANOWICZACH

(Pani Anieli Godlewskiej poświęcam).

W przypomnieniu nagle odtwarzam te dziwne, w Nowogródzynie przeżyte godziny. Przymknawszy oczy (aby nic z otaczającej rzeczywistości nie przesłaniało wzroku), widzę znowu Świtez — cudne, srebrne jezioro, w rzeźbioną subtelnie ramę lasu ujęte; widzę ową jasną taśmę drogi, rzuconą pośród wzgórz i fioletowych o tej porze gajów brzozowych; drzemiące wsie z połyskującymi w słońcu kopułami cerkiewek...

Powtarzam szeptem słowa ballady: „ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie...” i błogosławię tę niepojętą możliwość zupełnego odejścia od dnia dzisiejszego w przeszłość, która tam, w Nowogródzynie, jest tak żywa i tak istotna, że gdyby nie auto, niosące nas w stronę Tuhanowicz, chciałby człowiek zapytać, o której to godzinie i w jakim dniu odchodzi dylizans z Nowogródka...

Nie byłoby najmniejszego zadziwienia, gdyby tak na którymś z ganków ukazała się pani w mantylce, a z murów poddominikańskiego klasztoru wybiegła gromada chłopców, wśród których byłby i Adam Mickiewicz... Tak.

Zawarczał samochód, zaśmiała się świętokradczo (naprawdę) syrena... czas najwyższy „zbudzić się z uludnych snów” i jechać do Tuhanowicz.

Więc to naprawdę, to nie przepyszna fantazja poety, więc można tam aż pojechać? W chwilach

wielkiego wzruszenia człowiek staje się tak cudownie, bezpośrednio naiwny i ciągle czemuś nie może dać wiary i tak pragnie we wszystko wierzyć...

Jest park, wysoko położony, aleje. Na każdym kroku ślady wspaniałej architektoniki ogrodniczej. Rozrzucone grupy drzew, lip, grabów, jesionów i brzoź... Tu był szpaler, tam zielona altana...

Tuż za parkiem rzeka.

Słowiki jeszcze nie śpiewają i nie szumią konary, potrzaskane i połamane w czasie, gdy w parku rozciągnęły się pozycje niemieckie, a o kilkadziesiąt kroków moskiewskie armaty waliły w dwór tuhanowicki. Niema dworu. Z ziemią prawie zrównany w jakiejś straszliwej, mściwej pasji, z jaką wróg śmiertelny niszczył ziemskie mury, w których sposobila się do podniebnego lotu dusza Gustawa Konrada.

Niema dworu. Sterczą gdzieś niegdzie z pod ziemi kamienne fundamenty. Tu, w tym końcu boczne skrzydło, gdzie był pokój Maryli, a naprzeciwko o kilkadziesiąt kroków, ledwie widoczne ślady murów. Tam gościł Mickiewicz z Zanem, z okna widział wdzięczną postać dziewczęcą... Jeszcze dalej słynna altana brzozowa, w której zęgnął się na zawsze z jedyną, nadewszystko ukochaną. Opoдал strzaskana przez piorun brzoza, którą sam zasadził.

Bardzo cicho w parku. Słychać szum rzeki. Czyż to nie nad jej brzegami długo, w beznadziejnej męce

plakała Maryla? Cicho płynie wierna rzeka. Zda się, słyhać bezdźwięczne, bezgranicznie smutne, w jej szumie ledwie dosłyszalne pożegnanie: „bądź zdrów, bądź zdrowa“...

Tutaj, w tuhanowickim parku — ach! bo nigdzie więcej, w żadnej bibliotece i z żadnego dokumentu, ni listu, tylko tutaj „odczytywać“ można wielką mickiewiczowską tragedję, tragedję żywego człowieka. Tutaj wsłuchiwać się w tętno romantyzmu, tutaj przejąc się poetycznym realizmem słów: „rozumni szalem“...

Zarosły trawą aleje i ścieżki. Tyle burz przeszło nad Tuhanowiczami, a przecież... A przecież po wsze czasy wszystko tu będzie żywe. Zbyt wiele myśli i serca, zbyt wiele ukochania wcieliło się w każdą gałąź brzozy płaczącej, w każdy krzew, aby nie odzywały się po wieki cichym szeptem o tem, czego były świadkami.

Wychodzę z zaczarowanego parku i dopiero teraz wiem, ilu to rzeczy nie wiedział człowiek, czytając tomy całe, pisane przez „sumiennych badaczy“, co tu nigdy nie byli!

I dokądże to teraz z Tuhanowicz? Bardzo ciężkim byłby powrót do rzeczywistości dzisiejszej, podobny do wstrząsu, jaki przeżywa organizm po gwałtownym spadku gorączki.

I oto gdy mi mówią najmiłsi przewodnicy, że prosto stąd jedziemy do pani Tuhanowskiej, mocno bije serce na myśl, że danem mi będzie ujrzeć tę, co bliskimi węzłami krwi z Marylą była złączona. Tyś się pytań ciśnie się na usta... Jak wygląda, jak żyje, jak mieszka? Wyobraźnia pracuje niezwykle intensywnie.

Stop. Jesteśmy na miejscu. Wsiadamy.

Mizerny folwarczek (nazywa się Nowy Świat), o paru zabudowaniach, wśród których widnieje ubożuchny, nędzny domek. Oto siedziba ostatniej z magnackiego rodu Tuhanowskich. Wolno wstępuję na stopnie niskiego ganku, potem do ciemnej, dusznej sionki, stamtąd do... pokoju, a właściwie dużej, bardzo ubogiej izby. Trochę gratów, brudne, przez muchy popstrzone szyby; kręci się i trzaska drzwiami jakaś hoża i doskonale bosa litewska dziewczoja.

Jeszcze nikogo nie widzę. Ach, nie, owszem. W wielkim fotelu o wysokich, staroświeckich poręczach, mała, zgarbiona postać. Twarzy nie dostrzegam, bo głęboko nad stołem pochylona. Czy to może pani Tuhanowska?

Powstaje zwolna, wyciąga na powitanie drobną, bezcielesną dłoń. Jakże dziwną ma twarz! W tysiące pooraną zmarszczek, wydatne kości policzkowe, trochę skośne oczy. Oddycha z widocznym wysiłkiem. Czuję, jak coś za gardło ściska, do oczu nabiegają łzy. Nie mogę z siebie głosu wydobyć.

Po długiej chwili zaczyna mówić. Od czegoż to zaczyna? Aha, bierze ze stołu jakiś wielki zeszyt,

w ciemny karton oprawny, odchyła okładkę. Fotografje Tuhanowicz przed wojną. Cicho, w jakimś mistycznym niemal skupieniu opowiada nam o nich — w którym wieku pobudowane, na kogo prawem dziedzictwa przechodziły, jak rosły i potężniały, a potem znów w zawieruchach padały wojennych.

Zaczyna wreszcie mówić o Wereszczakach, o Maryli, o Mickiewiczu, o filaretach. Drżący głos dziwnie się zmienia, staje się młody, dźwięczny, donośny, zdumiewa wspaniałą dykcją. Płyną słowa niewstrzymaną falą miłości, zapala i bezbrzeżną tęsknotą, że niemasz oto rodzinnego gniazda...

Nieśmiało proszę, aby nam zechciała wszystko, co wie o Maryli, opowiedzieć. Jakież płomienne ma teraz oczy, młode, żywe, palące!

— Marylka! — (tak o niej mówi) — wy wcale nie wiecie, żaden z waszych wielkich krytyków nie wiedział naprawdę, kim ona była. A mnie moja matka, co jej bliską krewną i przyjaciółką była, długie historje o Marylce godzinami całemi opowiadała.

Była dobra, mądra, wysoce wykształcona. Znała doskonale języki, zwłaszcza angielski i włoski, studjowała literaturę; jedna z pierwszych w Polsce była gorącą wielbicelką romantyzmu; ona to zachęciła



Tuhanowicze. Brzoza Mickiewicza.

Mickiewicza do studjów nad Byronem i Szekspirem, ona była duszą ruchu filareckiego, ona poddawała Zanowi myśli, będące podłożem idei promienistych. Nikt nie był tak bliski Mickiewiczowi duchem, jak ona. W długich rozmowach zbliżyły się dusze, potem pokochały serca.

Czy była piękną? Nie, ale postokroć więcej, niż piękna, była bowiem czarująca i jeżeli chodzi o urok, nikt nie mógł z nią współzawodniczyć.

Przestaje mówić, bierze znowu album do ręki i po chwili, nabrzmiały łzami, dźwięczy ten dziwny głos.

— Tu mieszkała Marylka, w tem lewem skrzydle; gdy stała przy oknie, miała przed oczami okna pokoju Adama. Kochała go bardzo, czemu za nim nie poszła?

Jak groźnie brzmi teraz głos tuhanowskiej pani, ileż w nim oburzenia i gniewu!

— Wszyscy myślą, że ona dla złota poszła za Putkamera. Brzozy tuhanowickie wiedzą tylko, ile wyplakała łez. Jakąż to miarą sądzą ją współcześni? Czem innym, niż dziś, była ongiś wola rodziców, nakaz ślepego posłuszeństwa, przesady społeczne. Któż to ośmiela się wydawać wyroki? Wielką przeżyła tragedję, to jedno jest pewnem; do końca życia nie zapomniała owej najcudowniejszej, jedynej wiosny swego życia.

Długa cisza. Słysząc bicie serc i może szept nie z tego świata: „Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?“...

Już o nic nie pytam.

Zamyśliła się głęboko pani, znowu pochyliła głowę...

Rozpoczęła inną opowieść — o Putkamerze, walecznym napoleońskim żołnierzu, o swoim ojcu, matce, o ich udziale w powstaniach, o wielkiej magnackiej fortunie, która poszła na dobrą służbę ojczyźnie; o tych stu chłopcach, którzy sumptem jej dziada szkoły i akademje pokończyli... Opowiada nam o Soplłowiczu, opowiada, czem były Tuhanowicze i ich dziedzice dla tej ciemnej chłopskiej masy białoru-

skiej, którą oświecać, podnosić, uczyć przez wieki usiłowali. Och, umieli mierzyć siły na zamiary, wcielić w życie testament Mickiewiczów i Słowackich, niosąc przed narodem oświaty kaganiec.

Boże! jak ta kobieta przedziwnie ujmuje te wszystkie sprawy, jakimże hymnem na cześć tej oświaty było całe jej życie! Ilu czynami tę swoją wiarę w moc światła zdołała przypieczętować! Z jakim entuzjazmem opowiada nam o swoich znajomych nauczycielkach ludowych, młodych dziewczętach, które, rzucone w tę ciemną masę, pracują ponad siły, po kilka kilometrów pieszo do swej szkoły idą, wieczorami uczą dorosłych, pędząc życie młode zdala od ośrodków kulturalnych, od zabawy i radości.

Teraz znowu mówi o Mickiewiczu — o Księgach Pielgrzymstwa, które umie napamięć. Powoli, w zapamiętaniu powtarza słowa: „O ile polepszyście dusze wasze, poprawicie prawa, powiększyście granice wasze...“.

W jej ustach słowa te nabierają niezwyklej mocy i znaczenia, bo...

Bo właściwie, czyż jest inaczej? Czyż w bezgranicznej, wiecznej tęsknocie za prawdą, dobrem i doskonałością — inną drogę do celu, jak przez doskonalenie siebie, obrać można?

Romantyzm, mrzonka, urojenie?

Ach, nie! Wiecznie żywa, najistotniejsza prawda, głoszona przez tę, co życiem swoim całym prawdę tę wcielała, co, dokonawszy i dokonując wielkich czynów, zawsze wierną jej była.

Ileż to szkół założyła, ile instytucyj naukowych do życia powołała! Oddała wszystko, co miała, na cele społeczne i jeszcze dziś z groszowych funduszów troje swych wychowanków w Krakowie kształci.

Nie mogę pisać dłużej, nie mogę kwiecistym zwrotem rozważań niniejszych zakończyć! Jedno wiem: w obcowaniu z takimi ludźmi umacnia się dusza, krzepnie w mocnej, niezachwianej wierze zmęczone serce ludzkie, krzepnie wola dobrej pracy i miłości człowieka. A cóż jest ponad to ważniejsze?...

KAZIMIERA IŁLAKOWICZÓWNA

DWOREK

*A któż te kolorowe pióreczka
na trawę wymiółł z sieni?!
... Pachnie miodem kwiitnąca hreczka
tuż za polem jęczmienia...
Plot, na krzakach różanych wspany,
liczne gubi zębiska;
przez drzwi dwoje, naprzestrzał otwarte,
jezioro łyska.
Na jeziorze żagiel migota,
dwa żagle płyną...*

*Położyły się krzyżem przez rrota
luki białe jaśminu;
skrzyżowały skrzydła przed bramą
i skryły twarze;
tak, jak kiedyś, zarosze tak samo
trmają na straży.
Lecz zarosła cierniami ścieżka,
głogiem — rozstaje!...
... Pachnie miodem kwiitnąca hreczka,
zapomnieć, zapomnieć nie daje...*

NIEZNANY LIST ELIZY ORZESZKOWEJ

Dzięki uprzejmości pani Antoniny Matuszyńskiej, ogłaszamy jeden z nieznanych listów Elizy Orzeszkowej, rzucający ciekawe światło na jej życie i pracę w otoczeniu nielicznych przedstawicieli inteligencji polskiej w Grodnie. List ten — to wyjątek z obszernej korespondencji, jaką dojrzała już i znakomita pisarka prowadziła z młodą naówczas adeptką sztuki, a później świetną primadonną opery włoskiej, p. Antoniną Matuszyńską.

Ze czcią i pietyzmem przekazujemy naszym czytelnikom ten cenny dokument autobiograficzny wielkiej pisarki, świadectwo nieugiętego ducha kobiety-polki.

1878 r., grudzień. Grodno.

Dobra moja i droga Toniu!

Wiadomość, którą miałas o mojem strapieniu, jest, niestety! aż nadto prawdziwą! Choruję na oczu od miesięcy 4-ech i również długo martwię się i niepokoje srodze. Obok tego przeżyłam jesieni tej chwili bardzo ciężką — straciłam Matkę. Ostatnie dni życia osoby, dla której miałam nietylko przywiązanie, ale jeszcze i święte obowiązki, kosztowały mię wiele trudów, cierpienia i łez, co, naturalnie, nie przyczyniło się do uzdrowienia mego wzroku. Teraz, żalobą, jak całunem, okryta, smutna i niespokojna o przyszłość swą, która bez pracy, w której złożyłam wszystkie moje radości i ambicje — wydaje mi się zupełnie nieprawdopodobną.

Wyglądam z dnia na dzień jakiegoś polepszenia, jakiejś nadziei, dotąd nadaremnie. Tyle mi jeszcze pozostało oczu, że mogę od czasu do czasu napisać parę listów, a gdy się parę tygodni temu wzięła do pisania jakiegoś artykułiku, po kilku dniach przekonałam się, że byłoby to przedsięwzięcie całkiem niewykonalne.

Z prawdziwem rozrzewnieniem czytałam propozycję Twoją zostania moją lektorką, vel sekretarką. Byłaby to dla mnie perspektywa niesłychanie urocza, gdybym była egoistką, lub nie znała najkonieczniejszych potrzeb natury ludzkiej, takiej mianowicie młodej, żywej, ognistej natury, jak Twoja!

Droga moja! Tybyś się tu u mnie na śmierć zanudziła, zatęskniła! Tybyś tu zdziczała i chyba najczarniejszej melancholji dostała! Ty, złota iskierko, iskierko, padająca w upalnej atmosferze wielkiego miasta, ani pojęcia stworzyć sobie nie potrafisz o miejscu, które zamieszkuje i sposobie życia, które prowadzi. Mieszkam w mieście tak puste, tak ciche, tak nudnej, że śladu jakiegokolwiek życia towarzyskiego, umysłowego, artystycznego pozbawionej. Ludno tu wprawdzie — mimo to pusto, dla przyczyn bardzo jasnych i koniecznych. Wszelkie stanowiska ważniejsze, wymagające wyższego nieco wykształcenia i dające większy dostatek, są zajęte przez ludzi, któ-

rych nie znamy, z którymi nie mamy nic wspólnego. Tam, w kole tamtem bawią się, podobno, i żyją — tańczą, grają, śpiewają, teatr mają, kluby i inne podobne rzeczy; lecz my o tem słyszymy tylko, żadnego w niczem, co-ich jest — udziału nie przyjmując. Nam pozostały tu same tylko miejsca niskie, podrzędne, dla nędznego kawałka chleba absorbujące ciała, duchy i czasy ludzkie, tak że dla wyższych duchowych potrzeb ani pieniędzy, ani godzin, ani sił niema. Stąd konieczny obskurantyzm i apatja na wszystko, co się nie tyczy spraw najpowszedniejszych — lecz jedynie do osiągnięcia możliwych — najważniejszych, bo do stracenia niezmiernie łatwych — a po straceniu do odzyskania zupełnie już niepodobnych. Długoby o tem mówić, a jeszcze więcej nad tem płakać. Tak jest jednak. Zrozumiesz, że uczuwając dla ludzi tych najgłębsze współczucie i nawet, a może dlatego właśnie, najgorętszą miłość, za mało posiadam z nimi wspólności, abyśmy wzajemnie w towarzystwie swem bardzo lubować się mogli. Dlatego zamknęłam się ściśle w czterech ścianach mego domu i w kółku najbliższych przyjaciół, którzy wszyscy prawie są Ci znani, z których nikt już nie jest gościem. Od lat dziewięciu życie upływa mi tu tak cicho i jednostajnie, że dni wydają się podobnymi do kropel deszczu, spadających w wyłobione kamienie, lub do tententu regularnie idącego zegarka.

Jeżeli zapytasz mię — dlaczego obrałam sobie życie takie i twierdzić zechcesz, że narówni ze mną zgodzićbyś się z niem mogła choćby przez czas jakiś — odpowiem Ci z łatwością i szczerze... Zaczynając życie to, byłam jeszcze młodą istotnie, jakkolwiek zawsze dużo starszą, niż Ty jesteś teraz; lecz posiadałam dwa talizmany, które upewniały mię, że nie znajdę w niem nudy, ani śmierci moralnej. Przeżyłam pierwszą młodość burzliwą i nieszczęsną, więc na-przód potrzebowałam spokoju i ukojenia, a potem miałam pewność, że po wszystkim, co przeżyłam — wszystko mi będzie znośnem i nawet miłem.

Oprócz tego i nadewszystko posiadałam przed sobą cel jasno określony, ukochany i dążenie, do którego życie takie było bardzo sprzyjającym i odpowiedniem. Pozwoliło mi ono skupić się, utonąć całkiem w pracy i zdobyć sobie zupełną umysłową niezależność, niesłychanie w zawodzie pisarskim cenną. Powoli przywykłam do grobowej ciszy, zżyłam się z nią, pokochałam nawet smętne jej uroki, zaludniłam ją sobie i rozpromieniłam tworam własnego umysłu i tych kilku serc bratnich, które na pustyni tej połączyły się ze mną węzłami głębokiego smutku i silnego przywiązania.

Prawda, że pracujemy wszyscy — a raczej jam

wspólnie z przyjaciółmi mymi pracowała dotąd. Zająć, dobrowolnie przyjęte, umiłowane, przynoszące różnostronne pożytki pochłaniały godziny, dni, lata całe tak, że pochwytywali się nieraz wzajem na gorącym uczynku żądania, aby doba miała zamiast 24-ech — 48 godzin. Przytem nauczyliśmy się bawić byle czem, znajdować rozrywkę w rzeczach, które obudziłyby pogardliwy uśmiech mieszkańca szerokiego świata. Nowa książka i nowa suknia, robótka jakaś, przejażdżka, żartobliwa gra w karty, kotek i piesek domowy wystarczają, aby przynieść nam po pracy rozrywkę i odpoczynek, aby obudzić śmiech i weselość.

Aby móc żyć życiem takim, trzeba go się wyuczyć, trzeba doń przybyć z trochę już zmęczenia i żądy spokoju; trzeba przedewszystkiem mieć pochłaniające jakieś zajęcie i zapełniające serce przywiązanie. Jest to tak dalece prawdą, że ja nawet, posiadając wszystkie warunki te — uczuwałam od czasu do czasu pewną tęsknotę za wrażeniami tu niemożliwymi, za użyciem jakimś umysłowym i artystycznym; poprostu zresztą za jakimś żywiołem nowym, któryby sprawił nowe wrażenie. Lecz u mnie bywały to tylko chwile przelotne, topione wnet w pracy, którą nad wszystko kochałam i w tych skromnych, prostych, lecz czystych, jak kryształ i ciepłych, jak domowe ognisko uciechach, do których zwykłam, w których już całą przeszłość swoją widziałam...

Dla ciebie, iskierko moja, stan ten tęsknoty byłby tu stanem normalnym i nie wywiozłabyś stąd wspomnień innych, jak kilku tygodni, czy miesięcy, przepędzonych w grobie. Ja nawet nie umiem sobie wyobrazić Cię, siedzącą rankami całymi w cichym gabinecie moim, pomiędzy książkami i szpargałami,

a przepędzającą wieczory w kółku trzech czy czterech osób, które są codzień te same i codzień o tem samem mówią i to samo robią. Gdybyś się nawet i z życiem tem zgodzić potrafiła, szkodaby Cię dla niego. Talenta Twoje nie znalazłyby tu pola, rozwoju, ani sposobów doskonalenia się. Tyś powinna jeszcze walczyć i zdobywać przyszłość; czas, którybym Ci zabrała daremnie — ległby na sumieniu mojem i sercu. Tak, na sercu, bo kocham Cię, droga iskierko, szczerze i więcej może, niż sobie wyobrażasz. Uczucie to każe mi zrobić ustępstwo na korzyść swoją i prosić cię bardzo serdecznie, abys przybyła do nas na kilka dni. Na dłużej za nic w świecie nie chcę Cię zagrzebywać w mojej pustyni, ale przez kilka dni może nie znudzisz się u nas, nie zatęsknisz i chwilka ta czasu zmarnowana nie przyniesie chyba szkody Twojej przyszłości. Dla mnie zaś, smutnej teraz i ciężko strwożonej, będzie to przyjemność wielka, trochę zapomnienia w smutku i trwodze i trochę siły do szczęśliwego ich przeniesienia.

Przyjedź więc do mnie, droga moja dziewczynko, najlepiej w czasie Świąt naszych, litewskich, zresztą kiedy tylko zechcesz i będziesz mogła, tylko oznajmij mi o Twojem przybyciu, bo chciałabym, abys mi opiewała trochę, a nie mam w domu fortepianu, więc go na przyjazd Twój przygotuję. Odpisz mi jaknajprędzej. Ani wiesz, jak w porę list Twój ostatni przybył. Smutna byłam i zrozpaczona niemal oczami swemi, gdy zrana go otrzymałam. Cały dzień potem byłam weselsza i lepszej myśli. Mam wielką ochotę pisać dłużej, ale już mi niewolno. Więc tylko przyciskam Cię mocno do mojej piersi, a całując oczy Twe i usta, proszę raz jeszcze: pisz i przybawaj.

El. Orzeszkowa.

M. H. SZPYRKÓWNA

B A B U Ń K A

1)

Podczas kiedy dziaduń przy biurku dokonywa uroczystego obrządku z brzytwą, pasem do ostrzenia i — na tę okazję zdejmowaniem z nad tualety w pokoju pani ekonomowej — zielonkawem lusterkiem na nóżce — Józik także nie traci czasu. Siada mianowicie na książce rachunkowej, do której co sobota dziadunio dyktuje panu Zajączkowi, dzierżawcy, rozmaite pozycje, a która zajmuje całą lewą stronę biurka, i jedzie ołówkiem po wiszącej na ścianie, tuż nad nim, mapie. Mapa jest stara, zielona, spelzła, podarta na rzekach i górach i pełna najcudowniejszych możliwości.

— Ot, i dojechali!... — mówi, obracając twarz ku dziaduniowi, którego namydlony policzek wydy-

ma się w sposób pracowity ku brzytwie. — Napisało: Wilna!... Dlaczego: „a“, dziaduniu, co? Kiedy przecież nazywa się Wilno?

— Przez to, żeby polakom zrobić, mosterdzieju, na złość, na złość!... — odpowiada dziaduń, zezem patrząc w lustro. — Moskal, Boże mu odpuść, już taki jest. Byle przeinaczyć, byle, co polskie, po tem ślad utopić! Jak polak nazwał: Grodno, to on zaraz: Grodna! A jak polak powiada: Równne — to on woła: Rowno!... No, przyjechali my do Wilna. I co?

— I co?... — mówi Józik, jak echo, ale pełen niecierpliwej ciekawości. — I co?

— Ano więc tak. Z dworca nic, tylko bierzemy remiźnika i powiadamy tak: Jeżdżaj, braciszku, na

ulicę Wielką, pod numer dwunasty, bo tam my sobie kwatery upatrzyli. A na Wielkiej numer dwunasty mieszka kto?

— Stryj Ksawery!... — woła uradowany Józik. — I Anielka dawniej mieszkała, co, dziaduń? Prawda?

— A mieszkała!... — powiada dziaduń, wzdychając i kiwając głową ostrożnie, żeby płaty piany nie spadały. — Teraz, Panie, świeć nad jej duszyczką!... mieszka, ale w niebie. No, dobrze. Przyjechali my do Ksawerka, dzwoniemy. Aż tu na spotkanie ciocia Pelasia w białym czepeczku. Przy oknie w saloniku najczęściej siedzi, kto przychodzi czy wychodzi, wygląda. Wiadomo: ciekawość, za którą Pan Bóg Ewę z raju wypędził, choć niby i była matką całego rodu ludzkiego. Widać, też za młodu była dzirlatka, ani chybi...

— Romusiek, a wstydziłbyś się Józickowi takie herezje opowiadać!... — słychać z drugiego pokoju głos babuńki, która w swoim fotelu co rano segreguje z pokojową Leošką zioła na lekarstwa. — Toż to dziecko! Nie godzi się nawet żartem ze świętych rzeczy wyśmiewać!

— A ty, serce, Marysiu, jakim prawem z drugiego pokoju, co my tu, mężczyźni, między sobą uradzamy, słyszysz?... — woła żartobliwie dziaduń, mrugając porozumiewawczo ku Józickowi. — Oj, kobietki, kobietki!... Tak było i z Ewą: jednym uchem słuchała, co jej przykazywał Pan Bóg, drugim — co jej prawil Adam, a widać trzecim strzygła w stronę, gdzie się dobierał ten niecnota wąż. Ja, mosterdzieju, zawsze, grzeszny człowiek, myślę, że gdyby mężczyzna — na ten przykład, gospodarz — tyle miał oczu, co kobieta ma uszu, no, toby gospodarka szła na schwał! Jednymby patrzył człowiek na dobytek, drugim — na pola, a trzeciego by jeszcze starczyło, żeby... żeby, na przykład, tego hycła Pietruka przyłapać, jak gruszki z drzewa obtrząsa, myśląc, że go nie dojrzą! Pietruk! A Pietruk!... Taki synu!... Przykazywałem, żeby pod bergamotę nie łązić, bo jak, mosterdzieju, rzemień odpaszę i skórę wyłożę, to choćby na rękawiczki dla pani ekonomowej się nada, taka robi się delikatna! Słysz! Pietruk!...

— He!... — odkrzykuje z gruszy Pietruk, którego czerwona koszula zdradziecko się rumieni pomiędzy gęstą zielonością listowia. — Ja dlatego, że tu pszczoły od rana huczą i huczą, a roju jakby nie widać. To ja wlaż na gruszę, ale takżeo cości niema!... Nieinaczej, tylko szelmy wciekli!...

— Ja tobie pokażę takie, mosterdzieju, pszczoły, że przez pół roku miodu ci się nie zechce!... — obiecuje bez przekonania dziaduń, przeciągając odnowa brzytwę. — Od ziemi to nie odrośnie, a jużby na cudze dobro było lasę! Za płotem ma skorośpialki, to

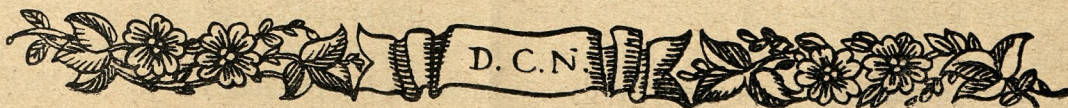
nie łaska: dawaj mu bergamoty! A my, jak do stryja Ksawerka pojedziem, to mu zawieziemy co? Wiadomo: dla niego grzybków marynowanych i wiśniówki, ale dla ciocia Pelasi — bergamotów! Bo to jej własną ręką grusza, Bóg jej zapłać, czterdzieści lat temu była sadzona. Jeszcze jej nieboszczyk mąż, Panie świeć nad duszą!... wtedy żył.

— To jeżeli dla dziadunia ciocia Pelasia jest ciocia, to dla mnie będzie kto?... — interesuje się Józik. — Jeżeli dla mnie dziaduń to dziaduń, to ciocia dziadunia to dla mnie będzie... któż?

— Dla ciebie, mosterdzieju, będzie tak samo ciocia, choć takich, jak ty, trzebaby siedemdziesiąt na funt, żeby wyszła jedna Pelasia. Ale taka ona mnie jest ciotka, jak i tobie. Tyle, że od wieków przy rodzinie dzieci hodowała, a od śmierci żony Ksawerka przy Anielce, biedaczce, jak matka czuwała. To i całe szczęście, że po jej śmierci Ksawery ją przy sobie zatrzymał, bo i gdzieby wieku dożywała? A służbę, nie bój się, musztruje mu, jak ten Bonaparte. Dziewczęta od niej, jak od morowego powietrza, bywało, uciekają. Tylko chyba pani ekonomowa u nas w paragon z nią mogłaby iść, kiedy, na fest jadąc, Leoškę i Marcelkę za swemi spódniczkami, a rureczkami, a fatalaszkami zacznie pędzać. Wiadomo: babski gatunek!

— Grzech, Romusiek, o znacznej osobie takie uszczypliwe słowa naprózno mówić!... — koryguje z sąsiedniego pokoju karcący głos babuni. — Pelasia, to zacności kobieta, a i u nas na młodem gospodarstwie, nie pamiętasz to, ile przy dzieciach, a w sadzie, a przy drobiu pomagała? Sam powiadasz, że bergamotę własną ręką zasadzała, a kwietnik, co to przed nowym domem? A wirydarzyk w ogrodzie? A altana? Ona! Wszystko ona! Już, że miała złote serce, to nie można powiedzieć! A teraz, czyżby Ksawery bez niej nie zmarnował się do reszty? Wiekowa jest, to nietrudno i o jakie przywary, ale to są drobne sprawy, a serce ma złote i przywiązana do niego, jak do syna! Któż po śmierci Anielci na mogiłce dziecku zasadził te właśnie róże z Ksawerowa, które tak lubiła? Ojcu na myśl nie przyszło, choć za tem dzieckiem świata nie widział; a ona pamiętała! Ksawery twardy człowiek, sam wiesz, ból go w sobie zasklepił: ale przecież, kiedy o tem mówił, to głos mu drgał i lzy miał w oczach! A ty mówisz: żadna krewna!

— Czyż ja zaprzeczam, że poczciwa? bój się Boga, serce, Marysiu!... — ratuje się dziaduń. — Pewnie, że w całym powiecie po dworach niejedna zacna pamiętka po niej została, choćby i, nie wymawiając, ta grusza u nas. A że babski gatunek jest do wszelakiej szmatki ciekawy i na swoją piękność uważający, to już trudno!





Nowogródek. Fara i ruiny zamku Mendoga.

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

PIĘĆ MIAST WSCHODNICH

Na filmie podróży

Miasta wschodnie — to nie Angora, nie Damaszek, ani nie Teheran. Niema tam gajów różanych, ani kobiet, zrzucających z zuchwałem przerażeniem czarzafy, ani mórz, zielonych od spojrzeń nieba.

Wschód to nasz, niedaleki, lecz wart spojrzenia, pozbawiony egzotyizmu, lecz nie czaru i nastroju... miasta, co ledwo na tę nazwę zasługują, lecz które już za lat dziesięć innemi obejrzymy oczyma, tak, jak przed laty dziesięciu obraz ich był daleki od dzisiejszej rzeczywistości.

Wysiadam w Baranowiczach. Ze stacji kolejowej nie idzie się, lecz jedzie się bardzo długo samochodem lub dorożką — i to jest już pierwsza cecha naszego Wschodu.

Kilometry całe dzielą tam miasta od ich połączeń ze światem: taka była wola tych, co te rzadkie linje kolejowe zakładali — gwoli wygodzie swojej i Imperjum Wszechrosji ku chwale, lecz ku utrapieniu ludności „krajowej”.

Na papierowym planie wyglądają Baranowicze nowocześnie: „po amerykańsku” w czworoboki wytyczone ulice ciągną się długimi, prostymi, szerokimi arterjami. Ale, chodząc po tych ulicach, ma się ochotę płakać nad mizerją domków drewnianych, miejscowej palestyńskiej (tak mi ją określali znawcy) architektury, ilustrowanej ganeczkami i rzeźbionemi w drzewie ramami okien.

Jeśli chodzi o drapacze nieba, to jednym jest piętrowa kamienica z magistratem, apteką i cukiernią, a drugim — legenda o dwupiętrowym budynku dla pracowników kolejowych.

Nowy, piękny gmach filji Banku Polskiego zbudowała kobieta, architektka. Na „Kresach” nikogo nie

dziwi dzielność kobiet: równouprawnienie jest tam bardziej faktyczne i życiowe, niż w innych okolicach Polski. Kobieta, jeżdżąca samotnie dziesiątki kilometrów przez lasy i puste pola, prowadząca rozległe gospodarstwo, zajmująca się różnemi pracami organizatorskimi, wprowadzająca postęp ekonomiczny i kulturalny w napół dziewicze lub zniszczone wojną obszary — jest tu bodaj zjawiskiem zwyczajnem. Jej energja i zdrowie nie pozbawia jej jednak romantyczności, która w latach dawnych tak cudownie zastawiała sieci na mieszkanki dalekich zamków, dworów i zaścianków.

Wjechawszy wieczorem do Nieświeża, miałam złudzenie, że przyjechałam do małej miściny francuskiej, której domki, zbudowane ścisłemi rzędami, stare, a świeżo tynkowane, usnęły w objęciach ślicznych, wielkich drzew.

Na rynku ratusz, z podcieniami, wygląda niby formistyczna dekoracja w teatrze, tak się bowiem złożyło, że ta stara, dość dziwna budowla odznacza się surową prostotą kanciastych linij.

Drogą okólną, wzdłuż stawów, wracając do Nieświeża, mijamy „Ostrą Bramę”. Nie mogąc zabrać Wilnu jego najcenniejszego skarbu — błogosławieństwa Panny z Ostrej Bramy — Radziwiłł Pannie Kochanku wznosił niemal zupełnie podobną do wileńskiej bramę „Ostrą” na drodze do swego zamku. Napróżno jednak: nie stał się tu żaden cud — nie objawiła się łaską Madonna.

Jeszcze w pełnym słońcu popołudniowem opuszczamy Nieśwież, by autobusem i z Horodzieja pociągami, zdążyć na wieczór do Nowogródka.

W drodze dość jest sposobności do obserwowania

tutejszych typów, tak charakterystycznych wyniosłym wzrostem, rozłożystością ramion i ruchów, czy to o mężczyznę, czy o niewiastę chodzi. Siła, rozmach, zdrowie zdaje się bić z gestów i słów głośniejszych, a dosadnych.

Zaściankowa szlachta, chłopci białorusini, hodowcy, ogrodnicy, lniarze, gospodynie, rolnicy — mają wszyscy jedną troskę widną i wspólną: służbę ziemi. Służbę chytrą i podszytą interesem własnego dobrobytu, ale chwytającą człowieka w nieochybne więzy, niczem w wilcze doły, przywiązania najserdeczniejszego. Z zajęciem słucham opowieści sympatycznego instruktora hodowlanego (jeszcze jedno nowe zjawisko kulturalne na ziemiach wschodnich od czasu niepodległości), który w objazdach swych — jak i jego koledzy instruktorzy rolniczy i ogrodniczy — zbiera setki charakterystycznych obrazków z życia miejscowego.

Nielatwa jest rola instruktorów. Lawirować im wypada między butą zaściankowej szlachty, impertynencją utytułowanych bogaczy, twardą zawziętością chłopską. Wszystkich godzić, wszystkich przekonywać o pewnych sposobach siewu, uprawy, żywienia bydła, czy to „pańskiego”, czy pospolitackiego. Zrzęcać tych, których dzieli zadawniony przesąd stanu.

— Na zebraniu organizacyjnym spółdzielni mleczarskiej — opowiada mi młody instruktor — w pewnej wsi zdołałem już przekonać zebranych, zaściankową szlachtę i chłopów, że będzie dobrą i korzystną dla nich rzeczą przystąpić do spółdzielni. Ruszyli już do stołu, zadowoleni, by zapisywać, ile który ma krów w gospodarstwie... Aż tu do głosu doprasza się pewna szlachcianka.

— „Ja coś chciałam zapytać”, prawi, „czy do tej spółdzielni, co my, zapisywać się mają także chłopcy?”.

— Wyjaśniam paniusi, że oczywiście, bo przecie tuż obok siebie mieszkają i będzie w spółdzielni większa siła. — A ona na to, jak rozpuści język: „My nie możemy na to się zgodzić. My nie dopuścimy, by szlacheckie mleko zmieszało się z chłopskim! Ja myślę, że wszyscy panowie-szlachta mnie poprą... My razem z chłopami należeć nie będziemy...”. — I tak dalej, i dalej, nabuntowała ich tak, że wszystka szlachta wyszła.

— Trzeba było niemało trudu i perswazji, by wciągnąć ów zaścianek do spółdzielni. Udało się to głównie dzięki temu, że do spółdzielni przystąpił pewien utytułowany właściciel ziemski, człowiek postępowy, co przekonało zaciętwioną szlachtę o możliwości mieszanego mleka herbowego z chłopskim.

Nowogródek! Małe miasteczko, które obecnie ambitny wysiłek zbiorowy zaczyna dźwigać ku lepszemu wyglądowi, ma swoich entuzjastów.

Cóż z tego, że na spadzistym rynku wznoszą się stylowe podcienia, pełne lichych kramików, że na starej studni blaszany bocian ostrzega niewinne nowogrodzianki, by tej wody nie piły? Cóż z tego, że o 200 kroków od rynku w każdą stronę kończą się już bruki miejskie, a zaczyna się wiejskie błoto lub kurzawa, że nędzne domki — to typowe budy rosyjskiego kroju? — Nowogródek jest miastem Mendoga i Mickiewicza Adama.

Gdzie się ruszyć, wszędzie po śladach tych dwu książy idziemy.

Góra Zamkowa, zaśmiecona i zanieczyszczona, z żałośnie na tle niebios sterczącymi ramionami bram i wież — jakaś Kalwarja przeszłości. Dobrze, że z gó-



Zamek w Nieświeżu.

ry patrzy się na łagodny, smętny i rozległy widok falujących pagórków, lasów i parowów okolicy. Zielono, błękitnie, srebrzyście przedzie się smuga marzenia w dalach horyzontu.

Jakowąś ścieżyną przemykamy się wśród zieleni, ku zaszytemu w ogrodzie pod drzewami starodawnymi „dworkowi Mickiewicza”.

Przez uchyloną w drewnianym płocie bramkę wchodzimy pod same okna dworku, do opartego, jak właśnie tego oczekiwaliśmy, na drewnianych filarkach ganeczka, przed którym, tak, jak być powinno — wiehżą się swobodnym nieładem kwitnące margieryty, różowe malwy, żółte nagietki, kłębią się srebrem trawy wysokie: kwietnik z „Pana Tadeusza”. Cicho, za muślinowymi firaneczkami okien nic się nie porusza. Nie chcemy tu zobaczyć nikogo. „Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki...”. Coś podobnego w sereu. Minionego na zawsze, a drogiego bez rachuby. To każdy rozumie i czuje i dlatego takie to jest bliskie.

Zawracamy, milcząc. Jeszcze tylko drugi podobny dworek został w Nowogródku: doktora Szymanowskiego; mijamy go również, by dążąc do centrum miasta, minąć i gimnazjum, na którego murach tablica wieści rozigranej młodzieży, że mieli tu kolegę starszego, który odszedł wprawdzie w świat, ale pozostał nazawsze z nimi...

Uroczysko. Czarne, zaniedbane, pełne garbów i wykrotów. Mogiła Mendoga. Na zboczach wielkiego kopca macą pogański sen chytremu chrześcijanowi lichemu, przez nikogo nie odwiedzane groby, bez ładu porzucane na stoku pagórka. Krzyże katolickie, krzy-

że prawosławne. Nędza opuszczenia. Ponuro tu i posępnie. Myśli się, że ludziom i po śmierci może być źle na świecie.

Powietrze przesycone tymiankiem i liliją. Na Dziady mogą zawlec twoją duszę. Serce nie może się w tkliwości ostać. Serce zostaje w dzikiej rozpacz, w prawdziwej melancholji. Jakoż kochania się ustrzec? Niema w tem winy niczyjej — jeno powietrze, co upaja tymiankiem i liliją. Dziewczyna chodzi smutna, młodzian blady... mężatka płacze, bogacz ponury. Więc jest o czem plotkować. A w lipach i leszczynach chichoty i do gwiazd i słońca usta i policzki różane palą się blaskami.

Kto powietrzem nowogródzkim odetchnie, temu pisana miłosna przygoda — i nic go od niej nie uchroni. Chyba ucieczka w inne strony — tak tedy nie dostanie mi się ów napój czarowny z kielicha romantyczności...

W drodze na „południe“ los każe mi parę godzin spędzić w Łunińcu. Żałuję wszystkich, którzy dłużej mają z tem miastem do czynienia. Nie dlatego, iżby nie było odeń podlejszych — ale tam niema nic dla oka miłego. Jest to, co w każdym małym miasteczku: liche domki, nędzne sklepiki, kilka kamieni, imitujących bruk, bardzo dużo szczerzego błota, drzewa, rosnące, jak same chcą — i to wszystko. Wokół miasteczka — równina, niczem nieurozmaicona. Skromny kościół, trochę okazalsza cerkiew, i drewniany w pobliżu budynek z wejściem pod „kolumnami“ drewnianymi, a z dziwnym przybudówkiem na froncie. Pytam przechodzącego dziewczęcia o miejscowym wyglądzie:

— Co to za budynek?

— To tijatr — odpowiada z dumą w głosie.

Istotnie, z boku wywieszzone afisze kinowe i teatralne. Głównie wojskowe przedstawienia święcą triumfy. Oto kraj, który trzeba dopiero uczynić mieszkalnym.

Gdy pociąg zagłębia się w wilgotne gęstwiny Polesia, ma się wrażenie, że niedawno przedarły się tedy pierwsze siekiery przybyszów. W ciemnych mchach lśni i chlupocze woda, u dna nieporuszonej puszczy. Na płaszczynach łąk przerzynają się równe, jak wy-

cięte, korytka rzeczek, leniwie, stojąco-płynących. Nie ujrzyś błękitnej wody, jeno czarno-brązową, jak oczy urzeczzone. Jeśli zdarzy się wioska, lub kilka chat ze stogiem jasnozielonego siana — to ludzi przy nich nie widać. Pusto i głucho. Przez kilka godzin drogi nie się nie zmienia.

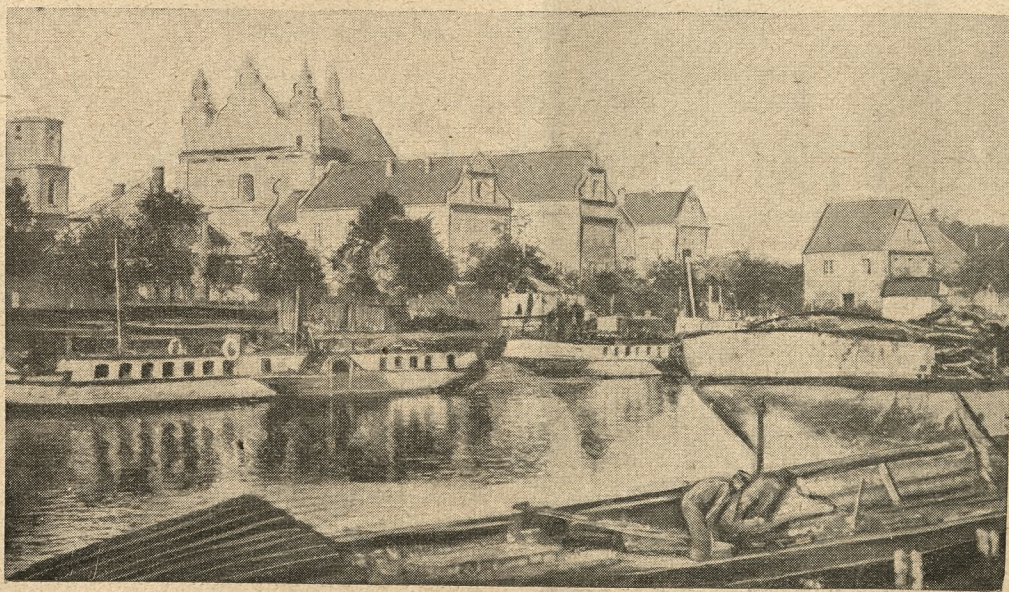
Pińsk wita zato stołecznym harmidrem. Na łeb, na szyję, trzeba gonić za dorożką, bo do miasta jedzie się dwadzieścia minut. Znowu między takimi sameymi rzędami drewnianych bud. Ale w centrum prawdziwie okazałe sylwety kościołów, cerkwi i pałaców rysują się w pomroce wieczornej.

Nadchodzi wkrótce gęsta, wszystko otulająca mgła, zatapia domy, budy, kościoły i wieże. Biało i szaro za oknami hotelu, w którym jest wyjątkowo, jak na „naszą prowincję“, porządnie, jasno i puchowo.

Nazajutrz jest smutno i sennie, mimo, że ruch w mieście niemały. Na rynku targ. We mgle snują się ciemne burki i białe fartuchy, popielate sukmany Poleszaków. Twarze, jakby cieniem osędziały, bezbarwne, zamknięte, bez uśmiechu i bez ożywienia. Nawet, gdy mówią, gdy targują bydło i owce, płótna i skóry. Z nad Piny uciekają mgły w rozległe, niewiadomo gdzie kończące się, obszary moczarów, zielone płaszczyny łąk. Horyzont blady, różowo-szary, błękit ledwo zaczyna przezierać wysoko w górze.

Wzdłuż rzeki w przystaniach ruch, ale dziwnie milczący. Ludzie kręcą się, ciągną, holują, odpychają, płyną małemi, w pniach żłobionemi łodziami, znoszą na statki i wynoszą paki i towary, lecz obraz robi wrażenie... obrazu, malowanego raczej, niż żywego.

Małe molo, porządnie na przestrzeni kilometra wyłożone płytami, przypomina mi południowy krajobraz. Dzięki ogrodnikowi, który miał kiedyś sympatyczną myśl posadzenia na promenadzie dwurzędu drzew, sylwetą przypominających pierzaste palmy, miękko ślaniających się w takt wiatru... Pod palmami nad Piną jest najmiłsza przechadzka, obserwuje się port i statki. Wystłżone na wodach, lodach i błotach. Z poobijanemi bokami, kominami na bakier. Flotylla z przed kilkudziesięciu lat. A środkiem rzeki płyną jedne za drugimi chłopskie czółna, naładowane workami i paczkami. Chłopi po dwu, czasem chłop i ba-



Ogólny widok Pińska.

ba, stojąc, wiosłują pod nurt. Niekiedy leci pogłos piosenki: melancholijna, niedźwięczna, zawrosczenie żalose.

Dopiero teraz ten zapadły świat otrzymał pierwszą wogóle szosę z Pińska do Brześcia! Szkoły się budują z udziałem chłopów, ale po starym szlachta zaściankowa chłopa uważa za „mużyka”. Żywiol postępu stanowią osadnicy wojskowi, ale są bardzo biedni i wprost nieprawdopodobnie twardą walką utrzymują się na glebie i hodowli.

Zwiedzam szpital sejmikowy, który przebudowuje się i reformuje, zakrawając na wzorową instytucję. Miejsce na 120 chorych i oddziały wewnętrzny, chirurgiczny, położniczy, weneryczny, zakaźny.

Ochrona, również sejmikowa, w której wychowuje się około 100 chłopców do lat 14. Widoczne ubóstwo i prymitywne traktowanie spraw higieny. No, ale i w stolicy znajdziemy niejedną nielepszą burzę.

Pośród nędżnych domków, obok ul. Wiśniowieckich, sterczą jakieś stare, trawą i chwastem porośłe

szczałki murów. Są to mury dawnego zamku. Niedosć, że zamek popadł w ruinę — tempo rozkładu było zbyt wolne dla rosyjskich zaborców: sprzedawano, lub nawet za darmo rozdawano mury i piące sąsiednie, by zachęcić mieszczan i żydów do zabudowania i zasłonięcia drażniącej pamiątki. I dziś jednak jeszcze ponad nędzne lepianki wyzierają szkielety murów, do których przybudowały się krzywo i bylejak klecone domostwa.

Patrzę na nie, jak na ilustrację do jakiejś potwornej baśni o torturach w niewoli u ślepych Cyclopów i, jak przez sen, słucham opowieści zacnego obywatela pińskiego o czasach, które były, strasznych czasach tego miasta...

Lecz naraz spostrzegam o parę kroków dalej budujący się nowy dom i młode drzewka, świeżo zasadzone wzdłuż chodników. I dużo wolnej przestrzeni, na której dzisiejsza rzeczywistość rozpościera się z ochotą dla swobodnych rąk ludzkich, dla rosnących naszych miast wschodnich.



Horodyszczce. Widok ogólny od strony jeziora.

WACŁAW HUSARSKI

ZABYTKI PIŃSKA I JEGO OKOLIC

Pińsk jest najbogatszym w zabytki miastem tej części Polesia, która na zasadzie traktatu ryskiego powróciła do Polski i która w całości prawie weszła w skład dzisiejszego województwa poleskiego.

Początki tego miasta, położonego nadzwyczaj malowniczo na wzniesieniu nad rzeką Piną, w pobliżu połączenia jej z Prypecią i Jasioldą, — sięgają, według wzmianek kronikarzy, końca w. XI. Niestety, liczne klęski, przez które Pińsk przeszedł, zatarły wszelkie prawie ślady tej odległej przeszłości. Zniszczone przez tatarów w r. 1527, następnie podczas buntu miasta w r. 1648, dalej w r. 1706 przez szwedów, posiada ono budowle monumentalne, w większości swej pochodzące z czasów stosunkowo późniejszych;

są to jednak przeważnie dzieła wysokiej wartości artystycznej. Z najstarszego zabytku, którym był zamek obronny, pozostały tylko drobne szczątki fundamentów, wałów i fos, leżące naprzeciw kościoła OO. Jezuitów. Pochodzenie t. zw. „Mogiły Mendoga”, kurhanu, leżącego na przedmieściu Leszcz, nie da się narazie bliżej określić.

Z dzieł architektury, zachowanych mniej więcej w pierwotnym swym kształcie, pierwsze pod względem chronologicznym miejsce zajmuje murowana synagoga. Mury jej sięgają roku mniej więcej 1600, a jest możliwe, że stoi ona na starszych jeszcze fundamentach. Z zewnętrznego swego wyglądu jest to jedna z owych typowych w Polsce synagog, o charakte-



*Kościół i klasztor Franciszkanów.
Obecnie katedra i seminarjum duchowne.*

rze częściowo obronnym, których dachy pogrążone ukryte są za attyką, mającą jednocześnie znaczenie ozdoby i obrony. Wnętrze, o świetnych, czterema filarami podpartych sklepieniach, posiadało przepyszne ozdoby stiukowe, dzisiaj częściowo zniszczone przez pożar, który nawiedził miasto w r. 1921. Synagoga ta przebudowana była w w. XIX, przy czym, zamiast dawnego, otrzymała nowe pokrycie dachu o typie mansardowym; pożar odsłonił zachowane na murach ślady dachu pierwotnego, który też przy odbudowie został przywrócony.

Następuje z kolei kościół i kolegium OO. Jezuitów, fundowane w r. 1631 przez ks. Stanisława Albrechta Radziwiłła. Zarówno kolegium, jak i kościół, były w w. XVIII przebudowywane. Kościół otrzymał wtenczas, między innymi, dzisiejsze swe, potężne sklepienia, będące dziełem O. Józefa Doela, pijara, dalej zaś nawę poprzeczną, oraz wyjątkowo świetną i bogatą fasadę z przepysznyimi wieżami. Pod wianiem dachu zachowały się ślady dwóch pierwotnych fasad bocznych, które znikły po dobudowaniu nawy poprzecznej.

Kolegium OO. Jezuitów zamienione było na monaster prawosławny, kościół zaś — na cerkiew. W tym to czasie zniekształcony został dach kościoła przez nadanie mu zaokrąglenia, niezgodnego z duchem architektury polskiej; w tym też zapewne czasie zniknąć musiały malowidła, zdobiące wnętrze kościoła, a z których zachowało się jedynie nad W. Ołtarzem Wskreszenie Piotrowina, gruntownie zresztą przemalowane i zamienione przy tej sposobności na Wskreszenie Łazarza.

Kościół ten i kolegium, malowniczo położone nad brzegiem rz. Piny, uderzają potężnymi kształtami całości, oraz wytwornością szczegółów bogatej fasady kościelnej. Pińskie kolegium OO. Jezuitów wychowało liczny poczet mężów, wsławionych później nauką i cnotą. Tutaj kształcił się, między innymi, znakomity historyk i poeta, biskup Adam Naruszewicz. Stąd również apostołował bł. Andrzej Bobola.

Kościół z klasztorem OO. Franciszkanów, pod wezwaniem Wniebowzięcia N. M. P., silnie uszkodzony podczas pożaru w r. 1921, należy jako fundacja do najstarszych we wschodniej połaci kraju, fundowany był bowiem, jak wskazują kroniki, jeszcze przez Zygmunta Kiejstutowicza, późniejszego W. Księcia litewskiego, około r. 1400. Zarówno kościół, jak i klasztor, były podówczas, jak się zdaje, drewniane. W w. XVII powstał kościół i klasztor murowany. Klasztor przetrwał do dni ostatnich w kształcie mniej więcej takim samym, jaki posiadał w w. XVII, z nieznacznymi tylko zmianami, pochodzącymi z w. XVIII i początków XIX; kościół natomiast przebudowany został gruntownie, lub przynajmniej wykończony w końcu w. XVIII, z tych bowiem czasów pochodzi jego prześliczna fasada o subtelnie ozdobnym szczytcie, oraz wytworne wieże. Również urządzenie wnętrza, z bogatymi, późno-barokowymi ołtarzami, jest dziełem wieku XVIII. Obok świetnego wielkiego ołtarza zwraca uwagę kaplica boczna po stronie prawej, w której, jako ozdoby ścian, oraz mensy ołtarzowej, znajdują się bardzo oryginalnie pojęte obrazy z Litanji Loretańskiej.



Korytarz w klasztorze OO. Franciszkanów.



Pałac Skirmuntów. Fragment od podwórza.

Dzwonnica przy kościele, pochodzi z pierwszej połowy w. XIX, podobnie, jak znajdująca się w obrębie cmentarza kościelnego figura P. Jezusa Nazareńskiego, pełna wyrazu, pomimo pewnej naiwności ujęcia.

Te są najwybitniejsze zabytki Pińska; obok nich znajdujemy kilka innych, mniej może bogatych, ale noszących również piętno artyzmu, a więc: kościół komunistowski, wystawiony około r. 1800, oraz nieco wcześniejsze dwa kościoły, przemienione następnie na cerkwie, a więc: kościół OO. Dominikanów (dzisiejszy Sobór), z bardzo poważną i harmonijną fasadą w stylu klasycystycznym, oraz kościół OO. Bernardynów, późniejsza cerkiew przy szpitalu, którego przesłiczna i charakterystycznie polska sylweta zeszpeczona została po barbarzyńsku przez bezsensowne obniżenie dachu i dobudowę potwornej wieżyczki, w stylu prawosławnym. Ohydne te okaleczenia cennego zabytku miały odebrać mu jego wygląd polski i upodobnić go do architektury rosyjskiej.

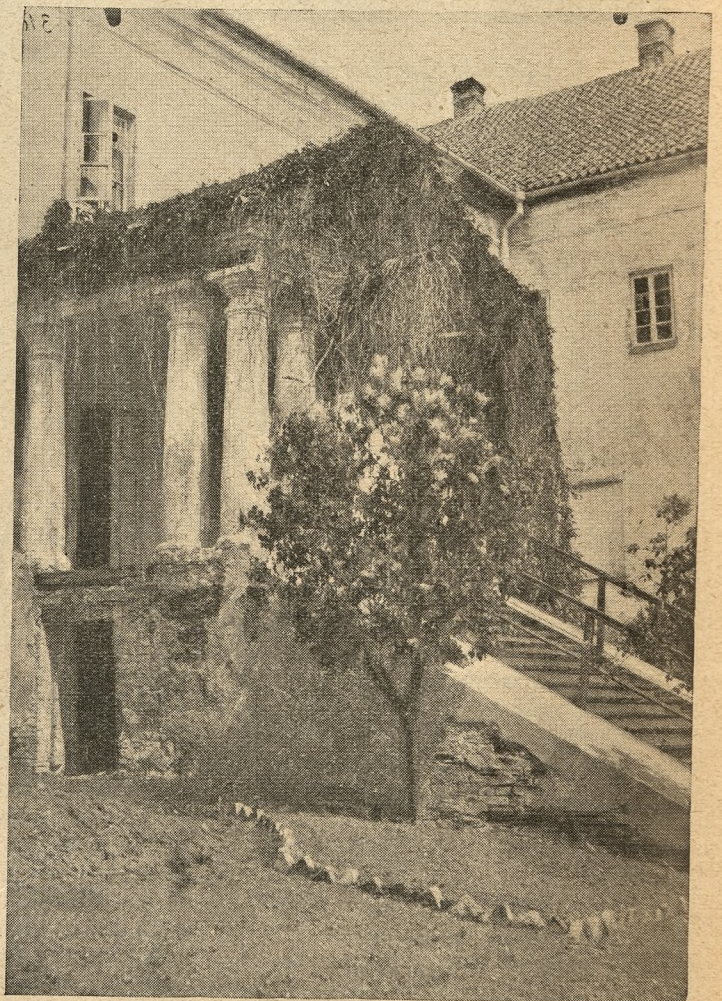
Dla uzupełnienia wykazu zabytków kościelnych wspomnieć jeszcze należy dwie kaplice drewniane, w bliskim sąsiedztwie położone, na cmentarzach katolickim i prawosławnym. Obie pochodzą z początków w. XIX i posiadają bardzo wyraźne cechy polskiego budownictwa drzewnego. Zwłaszcza kaplica katolicka, z klasycystycznym portykiem na kolumnach, jest typowym okazem tak charakterystycznego w Polsce przenoszenia zachodnich form architektury murowanej na budownictwo drzewne.

Również budowle drewniane świeckie noszą tak wyraźne piętno polskie, że dziwić się można, iż tyloletnia działalność rusyfikatorska zaborców nie zdołała nie tylko wykorzystać, ale nawet zmodyfikować dawnych tradycji. Dla braku miejsca trudno tu wymienić nawet najcharakterystyczniejsze z pośród tych typowych dworków.

Najwybitniejszym zabytkiem architektury pałacowej Pińska jest t. zw. „Mur Skirmuntowski”, czyli pałac Skirmuntów przy ulicy Kościuszki. Zalety artystyczne posiada zwłaszcza tylna jego elewacja, wychodząca na dziedziniec w stronę rzeki; należy ona do typowych fasad klasycystycznych, które w budownictwie pałacowym na wschodzie naszym zachowały się bardzo długo.

Ten dosyć spory, chociaż z konieczności pobieżny wykaz zabytków Pińska jest dowodem, że miasto owo było jednym z najważniejszych ośrodków kulturalnych Polesia. Nic tedy dziwnego, że i okolice jego obfitują w zabytki kulturalne wysokiej wartości artystycznej. Na pierwszym miejscu wymienić tu należy Lubieszów (inaczej — Nowy Dolsk), miasteczko, założone w końcu w. XVII przez kniaziów Dolskich nad rzeką Stochodem, podczas ostatniej wojny zniszczone doszczętnie.

Przetrwały nawałę wojenną tylko oba kościoły, a i te uszkodzone zostały tak silnie, że wątpliwe jest, czy przy największych nawet wysiłkach uda się przywrócić je do dawnej świetności. Świetność zaś to



Były klasztor OO. Franciszkanów.
Ganek od strony ogrodu.

była nie byle jaka; zwłaszcza kościół OO. Pijarów należał do wybitniejszych zabytków wschodniej polski kraju.

Kościół pierwotny, drewniany, fundowany był przez księcia Jana Karola Dolskiego w r. 1684, kolegium zaś przy nim założono w r. 1693; zostało ono zamknięte wraz z kasatą OO. Pijarów w r. 1834. Tutaj, według tradycji, kształcił się Tadeusz Kościuszko. Stąd wyszedł liczny poczet znakomitych uczonych i artystów, między innymi malarz Karol Hübel, w zakonie O. Łukasz. On to ozdobił malowidłami al fresco obecny murowany kościół, na miejscu pierwotnego, drewnianego, wystawiony w latach 1745 — 1762.

Malowidła te należą bezsprzecznie do najświetniejszych dzieł, jakie u nas w tym rodzaju powstały w w. XVIII. Zwłaszcza kompozycje, które ozdobiły sklepienia kościoła, są pierwszorzędnymi zupełnie dziełami sztuki. Niestety, te właśnie malowidła na sklepieniach uległy bardzo ciężkiemu uszkodzeniu, połowa fresków odpadła wraz z tynkiem. Jedynie malowidła na ścianach i filarach trzymają się dobrze, zachowując niepojętą wprost po stu kilkudziesięciu latach świeżość barw.

Sam kościół, o założeniu w kształcie krzyża, o potężnych i bogatych szczytach barokowych, z bogato pilastrami ozdobioną, chociaż zresztą niewykończoną fasadą, jest wartościowym okazem polskiej architektury barokowej. Na wprost tej fasady zwracają uwagę pełne dramatycznego wyrazu posągi Matki Boskiej i Św. Józefa, ocalałe bez najmniejszych uszkodzeń podczas bombardowania kościoła.

Drugi kościół w Lubieszowie, OO. Kapucynów, fundowany przez Jana Czarneckiego, kasztelana bractawskiego, był również od wewnątrz ozdobiony malowidłami. Kościół ten uległ zamknięciu w r. 1832, a skutkiem długoletniego opuszczenia malowidła uległy zagładzie, zachowując się jedynie częściowo w presbiterjum. Zwracają one uwagę z tego, między innymi, powodu, że wykazują tę samą rękę, co zachowane fragmenty malarskie w kościele OO. Jezuitów w Pińsku. Tej samej wreszcie ręki są malowidła kościoła w Horodyszczu pod Pińskiem, o którym to kościele godzi się powiedzieć słów kilka.

Horodyszcz leży na sporym wzniesieniu nad jeziorem Horodyskim i rz. Jasiołdą, a dzięki temu położeniu wśród wielkich wód należy nie tylko do najcharakterystyczniejszych, ale i do najbardziej malowniczych zakątków Polesia. Dominujący nad okolicą kościół po-benedyktynski, pod wezwaniem Św. Anny, fundowany był w w. XVII przez Karola Kopcza, kasztelana trockiego, a na nowo z cegły wybudowany w drugiej połowie w. XVIII. Od zewnątrz ozdobiony jest czterema szczytami o bardzo miłych kształtach, od wewnątrz zaś pokryty całkowicie malowidłami, wyobrażającymi bogatą architekturę, wśród której znajduje się kilka obrazów figuralnych. Malowidła te, stanowiące istny popis wiedzy perspektywicznej, czynią do tego stopnia ludzkie wrażenie rzeczywistości, że na fotografii niepodobna jest odróżnić części malowanych od prawdziwych. I ten również kościół silnie ucierpiał podczas wojny, został jednak wkrótce starannie i umiejętnie odrestaurowany.

To są najwybitniejsze zabytki Pińska i jego okolic. Pominięte zostały dwory, kaplice, figury przydrożne, częstokroć sporej wartości artystycznej, słowem — pamiątki mniejszego znaczenia, ale narówni z budowlami monumentalnymi świadczące o polskim od wieków charakterze tych okolic.

NA MARGINESIE KLASYCYZMU WILEŃSKO - WŁOSKIEGO

Tak się dziwnie jakoś stało, że wypowiedzenia plastyczne „artystów ziemi Wileńskiej” stanowią za-dają kłam tak rozpowszechnionemu i modnemu dzisiaj pojęciu o zatracaniu się odmian regionalnych w wielkim prądzie uniwersalnym sztuki. Abstrahując od drobnych różnic indywidualnych, nie do uniknięcia przy każdej samodzielnej twórczości, a przede-wszystkiem od samej przez się zrozumiałej różnicy poziomów — możemy stanowczo mówić o pewnym „typie” plastycznym, jaki stworzyła t. zw. „Szkoła Wileńska”.

Jak o przedziwnym paradoksie, mówi się u nas o owym, tak silnie zaakcentowanym pierwiastku klasycznym, który do współczesnej plastyki polskiej wnieśli „Wilnianie”. Tam właśnie, na naszych Kresach północno-wschodnich zrodził się najwyższy w naszym kraju kult sztuki Południa. Z tego właśnie skrawka ziemi, który był ostatnim etapem Napoleona w jego pochodzie na azjatycką już prawie, a w każdym razie tak rdzennie wschodnią, białokamienną Moskwę — rzutuje się pragnienie artystyczne na „słoneczną stronę”, ku dalekiemu półwyprowi Apenińskiemu, gdzie w przezroczystym powietrzu, pod bezchmurnym niebem kontury rzeczy zarysowują się tak harmonijnie, tak dostojnie, tak — „klasycznie”. Czyż to istotnie paradoks? Przypadek?

„Klasycyzm” wileński nie jest jakimś atrybutem przyrodzonym. Jest raczej zjawiskiem wtórnym, jest pasem ratunkowym w oceanie niepokoju wewnętrznego, jest ucieczką przed rozwichrzeniem i brakiem skupienia (charakterystycznym może nie dla każdego indywidualnie, lecz dla nas wszystkich, jako



Ludomir Ślodziński: „Zakonnica”.



Michalina Krzyżanowska: „Synagoga w Nowogródku“.

pewnej całości). W okresie sceptycyzmu naukowego (i estetycznego zresztą również), w okresie rozbicia materji — zarówno chemicznego i biologicznego, jak artystycznego poprzez fakturę — rozpaczliwe chwyce nie się jednolitej, niemal nie zróżnicowanej płaszczyzny; w okresie największej indywidualizacji psychiki — nałożenie maski schematycznego uśmiechu... — A ta maska, ten rodzaj idealizacji są jednak zapożyczone — zapożyczone w dalekiej ziemi i w dalekich latach. W ziemi i w latach włoskiego Quattrocentyzmu.

I to jest najpoważniejszy zarzut, jaki możemy postawić tym naszym braciom kresowym: że w zacieklej, szlachetnej i tak bliskiej nam wszystkim walce z dławiącymi nas więzami pięknego, lecz a-życiowego już dzisiaj romantyzmu — że w tej walce nie zdobyli

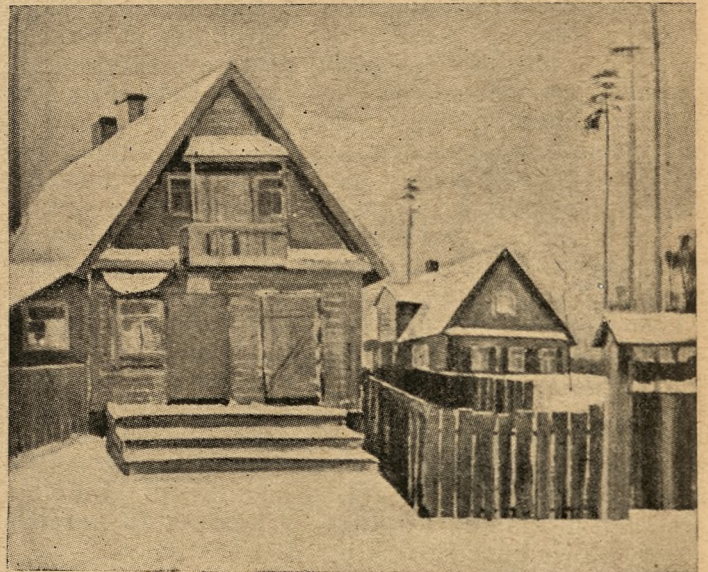


B. Jamontt: „Zaulek w Wilnie“.

się na własne, na nowoczesne rozwiązanie zagadnień. Że po odpowiedź na dręczące nas zagadnienia sięgnęli do rzeczywistości, tak od nas odległej — i tak już z naszą niewspółmiernej.

A jednak pewne zdobycze niewątpliwie zostaną, i, co więcej — może już nawet zaważyły i na innych odłamach naszej plastyki. Rzetelny stosunek do samej „roboty“ malarskiej, prawidłowość formy, wysoka klasa techniki olejnej — trwałe rezultaty zmagania się z przyrodzoną nam powierzchownością, nieporządkiem, zbytniem poddaniem się poetycznemu „nastrojowi“.

Na jubileuszowej wystawie Wileńskiego Tow. Art. Plastyków oglądaliśmy z uczuciem pewnej melancholji, ale i z zainteresowaniem, świadectwa tego wszystkiego, co zostało wyżej powiedziane — prace Ślendzińskiego — który zresztą o głowę przerasta całą swą „szkołą“ — a dalej: Hoppena, Kwiatkowskiego, Pileckiego, Roubu, Karnieja i innych. Jamontt, malujący przeważnie temperą i poświęcający się litewskiemu pejzażowi — odbija w charakterze od



Michał Rouba: „Żółty domek“.

grupy. U niego mamy do czynienia z czystym romantyzmem, w zasadzie jednak świeżym, przez swą bezpośredniość w stosunku do rzeczywistości, a przede wszystkim przez wyraźne, mimo wszystko, poczucie budowy obrazu.

Ale mówiąc o naszym malarstwie „Kresów wschodnich“, musimy wspomnieć o pejzażach z Nowogródziny p. Michaliny Krzyżanowskiej, tworzącej zresztą pod zupełnie innymi auspicjami, niż „Plastycy“. Realistyczno-nastrojowe w swej treści tematycznej, obrazy te swą kompozycją barwną, oraz zestawieniami fakturowymi wykreślają mozolną, w trudzie zdobywaną, ale własną drogę — do własnych, jakkolwiek może pokrywających się ze zdobyczami uniwersalnymi, osiągnięć artystki.

Zaprawdę, Litwa jest krajem przeciwieństw. „Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił“... — powiedzą może kiedyś „Plastycy wileńscy“. I może odejdą wtedy od przebrzmiałego, zwiotczałego już właściwie klasycyzmu włoskiego i stworzą mocny, nowoczesny... renesans kresowy. l. j.



Krajobraz poleski.

NA NOWOGRÓDZKIM SZLAKU

Gdybyśmy tak z podolskich sadów, sandomierskich łąnów, z pszenicą wyżej chłopa, czy z księżaczkiej wsi, roześmianej tęczą wełniaków i błękitem bielonych chat, znaleźli się nagle pod Nowogródkiem czy Wilnem — mielibyśmy z pewnością takie wrażenie, jakby nas z jaskrawego południowego słońca przeniesiono w półcień. Narazie wszystko wydaje się szare. Nawet gryka na łąnie mniej różowa, nawet chabry w zbożu bardziej siwe, nawet niebo i słońce bledsze.

Jadąc szarą drogą, patrząc na szare chaty, brudne dzieciaki wiejskie o płowych czuprynach i niewyraźnych, jakby rozmazanych rysach twarzy, już zaczynamy myśleć, że znaleźliśmy się w kraju, leżącym gdzieś poza wszelkimi szlakami kultury — gdy oto napotkane po drodze miasteczko zabłyśnie nagle istnym cudem barokowego kościoła, albo skręcająca w bok aleja, ocieniona starymi lipami, ukaże nam w dalekiej perspektywie wspaniałą, magnacki pałac, lub szeroko rozsiadły zamożny dwór szlachecki, cudowny w proporcjach i w wyrazie, nieporównany z niczym, typowy dwór polski.

Przecieramy oczy na te zjawy. Czy to nie pomyłka? Ale nie. To właśnie typowe dla tych stron zjawisko. Kultura tu chodziła siedmiomilowemi krokami — nie zdołała musnąć po drodze chat i pól, ale zato tam, gdzie stanęła, rzuciła skarby pełną garścią. I śpieszyła się bardzo, żeby nadrobić stracone 400 lat. To też dzieła jej tu na Kresach Wschodnich cechuje jakiś nieporównany rozmach, jaki posiadają rzeczy, tworzone w pośpiechu natchnienia.

Jeśli weźmiemy pierwsze lepsze szlaki wycieczkowe w wileńszczyźnie czy nowogródkiem, to wytycznemi punktami ich będą właśnie takie niespodzianki, ukryte przez kulturę w zapadłych zakątkach. I będzie jeszcze co innego. W każdym z tych zakątków odnajdziemy wspomnienia swoich własnych młodszych przeżyć. Każdy z nich powitamy, jak daw-

nego przyjaciela — wszystkie je znamy z okresu, kiedy nasze własne górne i chmurne przeżycia spletały się z dziejami Gustawa i Konrada, gdy czarował nas romantyzm uczucia Mickiewicza do Maryli, a plastyczność opisów „Pana Tadeusza“, czy ballad, wyczarowywała przed oczami wizje pagórków leśnych i łąk zielonych, tajemniczej toni Świtezi, i gąszczy leśnych, pełnych grzybów, orzechów, ożyn i jarzębiny.

Weźmy dla przykładu szlak Nowogródek—Baranowicze. Kolejno przesuną się nam przed oczami: Zubkowo — zaścianek szlachecki, upamiętniony w „Panu Tadeuszu“; Cząbrow, jeden z tych dworów, z których wspomnień wykryształizowało się Soplicowo; Świteż, jeden z najpiękniejszych klejnotów nowogródzkiego krajobrazu; Rajce Wereszczaków z cudownym starym parkiem; Woroncza.

Zapomnieli już ludzie o pierwszych na świecie ogarach starego wojewody, który nie zhańbilby się nigdy strzałem do szaraka — dziś skrupulatnie liczy się upolowane zające. Wojna zniszczyła stare pamiątki, nowe upodobania ukształtowały inaczej życie, ale wystarczy o szarej godzinie, lub przy nikłym blasku świecy wsłuchać się w ciszę, panującą w starych dworach, aby nawiązać nić porozumienia z tymi, co, tworząc te siedziby stosownie do swoich wymagań i upodobań, dawali im piętno własnej, silnej i bujnej indywidualności.

Na tymże szlaku dalszym etapem będą Tuhanowicze, siedziba Maryli. Z Tuhanowicz przez Horodyszce, Kołdyczewo, Zaosie, Stołowicze szlak prowadzi do Baranowicz, które są jego końcowym etapem. I drugi szlak najczęstszych wycieczek: Nowogródek—Nieśwież, pełen jest wspomnień Mickiewiczowskich: Ruta Górna, Korelicze, Szczorse — wszystko to znalazło odbicie w jego twórczości. Największe wrażenie robią dwa ostatnie etapy tej wycieczki: Mir i Nieśwież.

Mir — to ruiny starego gotyckiego zamku ks. Mirskich, widoczne zdaleka na wyspie, oblanej wodą jeziora. Pierwotny zamek, który w „Panu Tadeuszu” jest przedmiotem sporu Horeszków i Sopliców. Mimowoli czekamy, czy ze zrujnowanych drzwi nie wysunie się przygarbiona postać ostatniego klucznika, lub gorliwego a ostrożnego Protazego z rulonem urzędowego pozwu.

Po Mirze Nieśwież. Trzeba go poznać, żeby zrozumieć rozmach, gest i dumę rasową tych dawnych królewiat, co trzęśli Rzeczpospolitą.

Tej dumy i gestu starczyło w napół dzikim jeszcze kraju na fundament dla całego miasta. Bowiem Nieśwież-miasto istniało dlatego, że istniał pałac, i do- tąd ma charakter prywatnej własności. Kościoły, plebanje, rynek, brama miejska (Slucka bramka) — widać, że wszystko to z pałacu wyrosło i jest jego dopełnieniem. Bo też zarówno potęga, jak fantazja i żarty właścicieli pałacu nie mieściły się w jego murach. Stoi wspaniały kościół, jako pomnik kornej, acz hojnej ofiary Bogu; żyje też w pamięci ludzkiej opowiadanie, jak to książę Panie Kochanku saniami w cztery niedźwiedzie przed kościół na nabożeństwo zajechał.

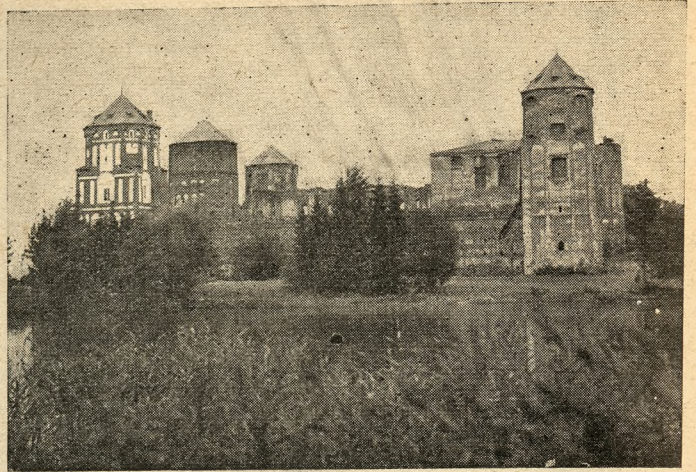
Zabytki stanowią tylko jedną stronę oblicza naszych Kresów. Drugą stronę zobaczymy, gdy na rozstaju dróg polnych zadziwi nas stary, pochylony krzyż przydrożny, cały drewniany, lub łączony z kute- m żelazem, czy wreszcie cały żelazny. Zadziwi nas dosłownie swoim pięknem, artyzmem, zaimponuje kompozycją i wyczuciem materiału. Aż się wierzyć nie chce, żeby ten leniwy, nisko pod względem kul- turalnym stojący lud mógł tworzyć takie rzeczy.

Ale krzyże — to jeszcze nie koniec. Przyjrzyjmy się tkaninie, którą przykryte jest siedzenie ze słomy na mijającym nas wózku. To znany nam wszystkim rodzaj tkaniny, którą przywykliśmy już nazywać wileńską, choć w rzeczywistości znajomość tkactwa domowego bynajmniej nie ogranicza się do wileń- szczyzny. Takie kilimki, kapy i chusty o ciekawym, skomplikowanym rysunku i świetnie zestawionych barwach, potrafi utkać niepiśmienna i brudna baba wiejska.

Nowa serja niespodzianek. Przecież gdyby taki twórca przydrożnego krzyża umiał dyskutować o sztuce, to, spotkawszy się na tamtym świecie z twórcą jednego z tych zabytków architektury, o których pi- sałam, mógłby rozmawiać z nim, jak równy z rów- nym. Tymczasem jednak z jego prawnikiem trudno się nieraz porozumieć, nawet na temat najprostszych spraw: koni i furmanek.

W każdym jednak razie możliwości twórcze lu- du na Kresach rokuja nadzieje arcyciekawych wni- ków już w niedalekiej przyszłości, nad czym gorliwie pracuje Tow. Popierania Przemysłu Ludowego.

Ale i sztuka ludowa — to jeszcze nie wszystko. Nie mówiłam jeszcze o krajobrazie. Z chwila, gdy przyzwyczajamy się do przyćmionych, szarawych barw, zrozumiemy odrębny, charakterystyczny urok kresowego pejzażu. Cechuje go nierówność terenu, duży procent lasów, jeziora i niezwykle malownicze, o czystej wodzie, rzeki. Roślinność bujna, a w wielu okolicach — np. jezior Naroczy, Świtezi i Zielonych — bardzo ciekawa pod względem przyrodniczym. Lasy o gęstym podszyciu, pełne jagód i wesołych, jasnych krzaków, leszczyny. Dla amatorów grzybobrania lasy kresowe są istnym rajem.



Ruiny zamku w Mirze.

Zasadniczo Kresy nasze miałyby dość atrakcyj, zachęcających do przyjazdu na lato, tak mało są jednak naogół znane, że zapewne jeszcze na długo wspaniałe lasy i jeziora cieszyć się będą niezakłóca- nym przez ludzi spokojem. Ruch turystyczny może się przyczynić do spopularyzowania Kresów. Na ra- zie nawet i ta sprawa dopiero zaczyna się rozwijać, dzięki staraniom miejscowych władz i niedawno za- wiązanej przy Polskim Tow. Krajoznawczym Sekcji Nowogródzkiej, lecz dużo jeszcze pozostało do zrobie- nia. Zwłaszcza pałacą jest kwestja schronisk tur- ystycznych i komunikacji. Ostatnie lata zaznaczyły się silnym rozwojem komunikacji autobusowej, co niewątpliwie przyczyni się do rozwoju turystyki na Kresach, dużo jednak jest jeszcze szlaków wycieczko- wych, które przebywać trzeba pieszo lub zwykłymi furmankami, co utrudnia wielu osobom poznanie tego pięknego kraju.

J. P.

TKANINY LUDOWE WILŃSZCZYNY

Jeszcze przed 10-oma, a nawet 5-oma laty nie słyszało się nic o ludowych tkaninach „wileńskich”. Baby nakrywały niemi od wieków łóżka i siedzenia na wózkach, nazywając je „dywanami”, „kołdrami”, „postiółkami”, ale sfery inteligenckie patrzyły na te derki lniane z pogardą.

Być może jakiś zbieracz, jakiś Ruszczyk, czy bia- łorusin Łuckiewicz, potrafił je ocenić, ale ogół mienił je prostactwem. Nawet, kiedy rozpowszechniła się mo- da na sztukę ludową, sprowadzano raczej farbowane aniliną, krzykliwe pasiaki łowickie i fabryczne ki- limki ruskie, w myśl zasady: „nie masz proroka w swoim kraju”. Niestety, zasadę tę większość ziemiań- stwa wileńskiego propaguje w dalszym ciągu.

Tymczasem lniane tkaniny dekoracyjne z wileń- szczyzny zdobyły sobie uznanie najwybitniejszych ar- tystów. Prof. Jastrzębowski, jeden z najznakomitszych twórców sztuki dekoracyjnej w Polsce, uznał je za

godne dekorowania Pałacu Sztuki na P. W. K. Ozdobiono niemi lożę Prezydenta w Senacie; gmachy wojewódzkie. W najkulturalniejszych domach z tkanin wileńskich robi się obicia do czeczotek i jesionów, używa się jako makatki, serwety, portjery, tapety. Stosuje się je również na poduszki dekoracyjne i oprawy książek.

Artyści najprzedniejsi biorą je za wzór do tworzenia tkanin dekoracyjnych, uczą się splotów nitk, wytworzonych przez wieki i tyle razy odmienianych.

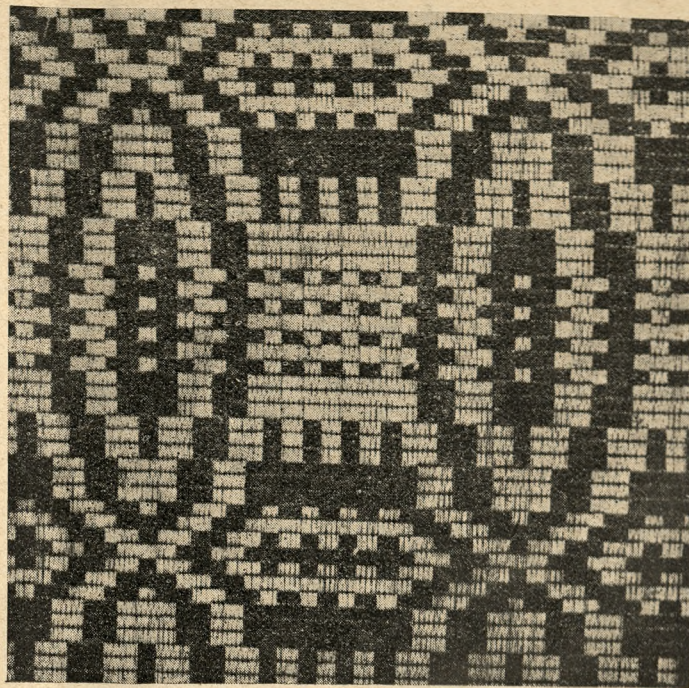
Powstał w Polsce nowy typ lnianej tkaniny dekoracyjnej; wyrabia je wytwórnia „Ład” i Szkoła Instruktorów Tkactwa Warszawskiego.

Niewątpliwie pojawienie się tych pięknych materij należy przypisać wpływowi tkanin ludowych z Wileńszczyzny.

Tkaniny te zawdzięczają uznanie przede wszystkim niesłychanemu bogactwu i różnorodności wzorów, wypracowanych cierpliwie przez wieki, a wynikających logicznie z wymogów techniki. Wzory kostkowe układają się w krzyże i koła, gwiazdy i okienka, splatają się i rozplatają w nieskończonych, a nigdy nie powtarzających się kombinacjach, niekiedy subtelne i nikłe, jak siatka, czy drobny rzucik, niekiedy znów dekoracyjne, ale nigdy krzykliwe, ani ordynarne.

Barwy są zazwyczaj spokojne, ściszone nieco, chmurne, dyskretne, jak krajobraz litewski ze ścier-niskami, chmurami, sinością lasów i szachownicami polnych pagórków. Ulubioną jest barwa żółta we wszystkich odcieniach, przetkana fioletem, rdzawością, lub zielenią; czarno-białe, czarno-żółte zestawienia, barwy głębokiego amarantu i fioleto, kolor naturalnego lnu, piaskowy, spleciony z fioletem, sinością lub czerwienią — oto najczęstsze zestawienia, niczem nie przypominające jaskrawej orgji barw „ludowych” wnoszącej dysonans w miejskie urządzenia.

Trwałość lnu i odporność na mole oraz niska cena tych tkanin zwiększają ich powodzenie.



Wzór tkaniny wileńskiej.

Trzeba zaznaczyć, że popularna nazwa tkanin „wileńskich” nie jest słuszna, gdyż rodzaj ten rozpoznawany jest w Nowogródzkiem, a spotyka się również na Kurpiach i w Lubelszczyźnie. Nazwa ta przyjęła się także i dzięki temu, że wprowadził je do handlu Bazar Przemysłu Ludowego w Wilnie.

Akcja popierania przemysłu ludowego na Wileńszczyźnie, redukująca się zresztą do organizacji tkactwa dekoracyjnego, poszła w bardzo racjonalnym kierunku: nauczono tkaczki tkąć na metry, tu i owdzie wprowadzono szerokie warsztaty. (Pozostaje jeszcze otwartą sprawa barwników).

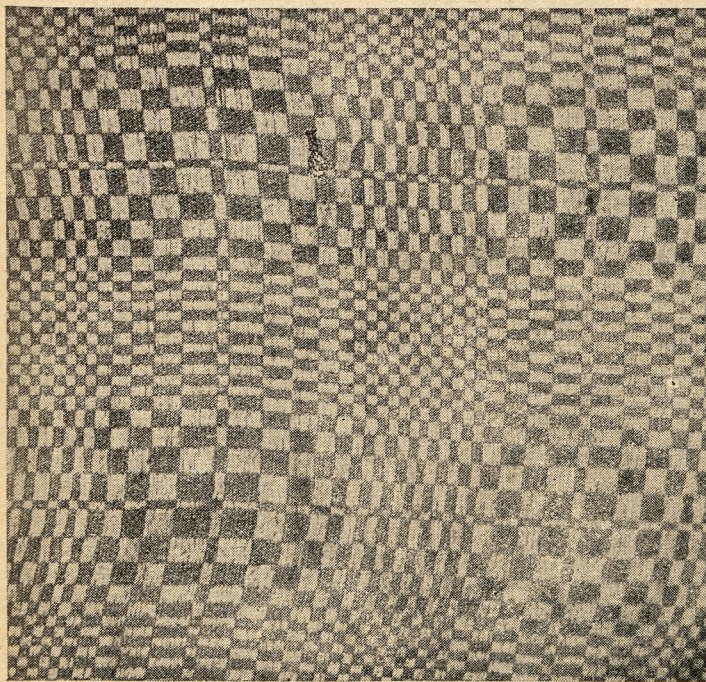
Dzięki współpracy profesora etnografii Uniwersytetu Wileńskiego i szeregu osób o wysokiej kulturze, T-wo Wileńskie popiera sztukę ludową w sposób najprostszy, nie zmieniając i nie narzucając, a z całą pieczołowitością zachowując oryginalność jej twórczości.

Obecnie zorganizowano tkaczki z dwóch jedynie najbliższych powiatów; jest to zaledwie nieznaczna część tkaczek z całej Wileńszczyzny, które w innych powiatach nie wiedzą jeszcze, że ich umiejętność może się stać tak pożądanym źródłem zarobku. Baby tam za nic nie chcą sprzedawać swoich domowych arcydzieł. Produkcję tkanin można by potroić, a nawet udziesięciokrotnić, podnosząc dobrobyt pewnej części gospodarstw zubożalej Wileńszczyzny. Tkaczki, stale dostarczające do Bazaru, wzbogaciły się znacznie, nabrały pewności siebie i wyemancypowały się, co się zowie.

Jednakże z rozszerzeniem swej działalności Bazar i Towarzystwo Wileńskie powstrzymują się z obawy braku zbytu.

Istotnie, tkaniny wileńskie znane są tylko wśród kulturalnej elity polskiej. Szerokie społeczeństwo wie jeszcze o nich tak mało. Warszawa nawet nie umie ich znaleźć.

Jankowska-Oryźyna.



Wzór tkaniny wileńskiej.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

NAGRODA LITERACKA GRODNA, IMIENIA ORZESZKOWEJ

Tow. Przyjaciół Literatury i Sztuki imienia Elizy Orzeszkowej w Grodnie zwróciło się do Magistratu miasta z projektem utworzenia stałej nagrody literackiej Grodna, imienia Orzeszkowej, dla upamiętnienia 20-tej rocznicy śmierci wielkiej pisarki i obywatelki. Magistrat wnioszek ten uchwalił i wystąpił o przyjęcie go przez Radę Miejską. Ustanowienie takiej nagrody byłoby hołdem pamięci najdostojniejszej z jego mieszkanek, a zarazem podniosłoby stanowisko samego miasta, które, pomimo swej historycznej roli i wielu cennych pamiątek, nie zawsze zajmuje należne mu miejsce w szeregu miast polskich.

Niestety, Rada Miejska nie uchwaliła projektu w całości: zamiast podanego wniosku, wypłacenia stałej nagrody w sumie 5.000 złotych co trzy lata, uchwalono tylko jednorazową nagrodę naukową (3.000 zł.), przyznaną z okazji uroczystości przyjazdu do Grodna P. Prezydenta Rzeczypospolitej.

Tow. im. Orzeszkowej zamierza prowadzić dalszą akcję w tej sprawie, gdyż nagroda jednorazowa nie odpowiada projektowi uczczenia wielkiej pisarki przez miasto, w którym zamieszkiwała i któremu tak hojnie sypała perły swej ofiarnej pracy, wzniosłych myśli i gorących uczuć swego wielkiego serca.

BOHATERSKA WŁOŚCIANKA Z MACIEJOWIC.

Na terenie bitwy Maciejowickiej, rozegrał się dziesięć lat temu epizod niezwykłego poświęcenia i odwagi kobiety z ludu.

Włościanka z Maciejowic, ośmnastoletnia wówczas dziewczyna, Franka Szatow, przedostała się na linię bojową, na której pułk ułanów poznańskich odpierał atak bolszewicki. Dzielna dziewczyna zanosila parokrotnie walczącym pożywienie, mleko, jabłka, ogórki, beztrudnie narażając się na pociski, aż do chwili, w której granat nieprzyjacielski ranił ją.

Wyleczona po długiej chorobie, pozostała jednak kaleką, bez ręki, z nogą wyrwaną z biodra, zeszpecona i niedołężna. Od tego czasu żyła długie lata w rodzinnej wiosce, w cięż-



Franka Szatow

kiej biedzie, a co gorzej, w poniewierce u ludzi, którzy często wypominali jej: poco się pchałaś do bitwy, co masz teraz za to!?

Na skutek usiłowań prywatnych, adwokata dr. Kawczaka, uzyskano dla Franki Szatow zapomogę, była ona jednak tak mała (20 zł. miesięcznie), że postanowiono odwołać się do ofiarności publicznej. Na skutek artykułu p. Jerzego Kossowskiego w „Kurjerze Warszawskim“, napływać zaczęły składki, utworzył się komitet, do którego weszli inicjatorzy akcji, przedstawiciele Czerwonego Krzyża, proboszcz Maciejowicki, szereg osób prywatnych, oraz dwóch mieszkańców Maciejowic. Komitet ten, po zbadaniu na miejscu Franki Szatow i warunków jej obecnego życia, postanowił za zebrane składki zakupić parę morgów gruntu, jako dar narodowy dla bohaterskiej dziewczyny.

Tę formę zapomogi wybrała sama Franka. Oświadczyła, że pomocy pieniężnej nie pragnie, nie chciałaby też iść do przytułku, a tylko prosi, „skoro ją takie szczęście spotyka“, aby mieć mogła swój kawałek ziemi, by to, co będzie w stanie przy swem kalectwie, robić mogła na swoim, i co najważniejsze, aby sąsiedzi, którzy jej wyrzucali jej poświęcenie, zobaczyli teraz, że naród o niej nie zapomniał i wynagrodził ją za bohaterstwo.

Komitet zgodził się na takie załatwienie sprawy. Zakupiony zostanie grunt, na którym stoi domek, gdzie mieszka Franka Szatow, i uczyniony formalny akt darowizny, z zastrzeżeniem, że gruntu nie może właścicielka nikomu sprzedać, ani darować. Rozporządzić może darowizną tylko przez testament.

Głębokie poczucie obywatelskie tej wiejskiej dziewczyny nie zanikło w latach ciężkiej niedoli, obdarowana Franka Szatow postanowiła, na znak swej wdzięczności złożyć ofiarę na istniejący obok Maciejowic w Garwolinie dzieciniec, gdzie wychowują się przeważnie sieroty po żołnierzach.

TYDZIEŃ CZERWONEGO KRZYŻA.

Tydzień bieżący jest propagandowym Czerwonego Krzyża w całej Polsce. W Warszawie Zarząd czerwono krzyżski organizuje szereg wykładów bezpłatnych: o pielęgowaniu chorych, oraz (na Grochowie) o pielęgowaniu chorych dzieci.

O KUCHNI KRESOWEJ

Każda dzielnica zjednoczonej Rzeczypospolitej ma swoje odrębności kulinarne, swoje, jak nazywają restauracje francuskie: „specialités de la maison“. Na krańcach znać wszędzie wpływy najbliższych sąsiadów: w centrum, za które zawsze musimy uważać stolicę i jej najbliższe otoczenie — była Kongresówkę — pozostało dużo pamiątek po królowych cudzoziemkach: francuzkach, włoszkach — których kuchnie naśladowali możni panowie, a za nimi brać szlachecka.

Wołyń i Małopolska wschodnia od sąsiadów-ukraińców czerpią przewagę w kuchni dań mącznych, i to na tłuszczu wieprzowym, lub okraszonych słoniną. Poza tem kuchnia małopolska, chociaż może nieco ciężka, jest nadzwyczaj smakowita. A kuchnia lwowska, która zresztą przeważnie w „Widniu“ szukała natchnienia, przoduje wszystkim innym.

Kresy północno-wschodnie, o których kuchni mam dzisiaj pisać, mają pewne naleciałości — tatarskie. Są niemi znane wszędzie w Polsce, a nigdzie prawie dobrze nie przyrządzane, kołduny, oraz obfitość stosowanej w kuchni baraniny. Poza kołdunami, zna kuchnia tatarów kresowych wyborne pierożki smażone — „kibiny“ — mniej rozpowszechnione i do złudzenia przypominające „czebureki“ krymskich tatarów. Baranina na wsi i po miasteczkach kresowych

przez dobre pół roku, lub nieco więcej, stanowi jedyne mięso w handlu.

Nietylko obecnie, lecz nawet przed wojną światową, po małych miasteczkach szlachtowano woły tylko późną jesienią i zimą, kiedy była pewność rozprzedania dużej sztuki bez narażenia mięsa na zepsucie. Wiosną i do połowy lata zastępowała codzienną baraninę i rzadszą wołowinę — cielęcina.

Wprowadzało to dużą monotonię w kuchnię mniej zamożnej klasy — mieszkańców miasteczek i mniejszych dworów i dworów. Bo duże dwory, żyjące przed wojną pod znakiem samowystarczalności, miały wszystkiego pod dostatkiem: drobiu, zwierzyny, najwykwintniejszych jarzyn i owoców — z własnych szklarni, sadów, ogrodów, inspektów, ba! nieraz z własnych ananasarni. Mięsa nie kupowano od rzeźników, bo co tydzień rosły na nie nietylko cielęta i barany, lecz podkarmione „kabanki“, brakowne, dobrze upasione krowy. Dużą też rolę odgrywała zwierzyna z lasów własnych — wobec braku zakazu polowania, dostarczana przez rok cały.

Kuchnia w takim domu była przeważnie ogólnoeuropejska — na francuskiej wzorowana, conajwyżej różniąca się od niej ogromną obfitością i układem posiłków. Naprzykład, na pierwsze śniadanie podawano, oprócz świeżego pieczywa i masła, całe półmiski wędlin, zimnych mięs, marynat, ryb wędzonych, robiąc z tego pierwszego śniadania coś znacznie kompletniejszego od lunch'u angielskiego. Drugie śniadanie około pierwszej i obiad o piątej nie przeszkadzały zjadać obfitej kolacji z trzech do czterech dań — pomiędzy ósmą a dziewiątą wieczorem. Tam, gdzie obiad jądano o pierwszej — o piątej podawano podwieczerek z całym jadłospisem śniadaniowym, z dodatkiem słodkich ciast, owoców, konfitur. Jedzono zapamiętałe.

Równie obficie, chociaż znacznie monotonię, odżywiała się klasa średnio-zamożna. Tutaj jedzono również smaczno i tłusto, zadowalając się jednak przeważnie sezonowymi mięsiami i daniami mącznymi. Ogromną rolę w kuchni takiej odgrywały mięsa solone — pekeflejsze — i wędliny. Jedzono je na surowo i gotowane, na zimno i na gorąco, w zupach i potrawach.

Jarzyny były poniekąd w pogardzie. Trochę sałaty i rzodkiewek latem lub wiosną, marchew, brukiew, kapusta, buraki i kartofle przez resztę roku, zrzadka kalafjor albo pomidor — tam, gdzie był ogrodnik. Latem poziomki i inne owoce jagodowe, jesienią gruszki, śliwki i jabłka, przez resztę roku konfitury — od gości. Dużo, smacznie, monotonię i niepomysłowo!

Zapomniałam o najważniejszym: od czerwca do sierpnia zjadano setki kurcząt; przez wrzesień i październik zastępowały je kaczkę, w listopadzie — gęsi. Z tych ostatnich robiono wyborne półgęski na cały rok. Kiedy przyszedł sezon dzikich kaczek, gospodynie nie wiedziały, co z nimi robić: myśliwi przynosili ich tyle, że nikt już jeść ich nie chciał.

Mimowoli, mówiąc o kuchni kresowej, cofnęłam się do lat niezbyt dawnych.

Czy obecnie coś się zmieniło? Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Tam, gdzie ocalały jakieś znaczniejsze resztki środków, sposób prowadzenia domu i odżywiania rodziny pozostał mniej-więcej ten sam. Mniej więcej — gdyż jest mniej rąk do roboty i mniej czasu zajmowania się sprawami kulinarnymi. Tam, gdzie są cieplarnie, inspekty, kierujący niemi ogrod-

nicy (coraz częściej inteligentne ogrodniczki), zakłady te są prowadzone w kierunku dochodowym. Sprzedaje się, spienięża, co się tylko da, zaledwie nieznaczna część produkcji idzie na zaspokojenie potrzeb domu. Toż samo się dzieje z drobiem, rybami ze stawów, cielętami i nierogacizną. Conajwyżej zjada się wszystkie wyhodowane ubiegłej zimy barany (nie nie ustępujące francuskim „agneaux“) i kurczęta, jako produkty na miejscu tak tanie, że ich zbyt się nie opłaca.

Gdzie warunki materialne są cięższe, gdzie nie można myśleć o przedwojennych „ochmistrzaniach“, gdzie zniszczony przez wojnę ogród nie pozwala opłacać ogrodnika, gdzie cała praca utrzymania domu i odżywiania licznej rodziny i domowników leży na pani domu, mającej do pomocy zupełnie surowy materiał w postaci kilku dziewcząt wiejskich — tam się jada, co się da.

I właśnie w tych warunkach możemy podziwiać pracowitość, rzadność, wytrwałość kobiety kresowej. W wielu wypadkach nie posiada jeszcze porządnego dachu nad głową, gdyż dwór spalony, a zbudować należy wpieryw stajnie, obory, stodoły — aby móc gospodarować; mieszka więc byle jak, w dawnych czworakach, w domu po gajowym lub dzierżawcy; lecz już doprowadziła do nieomal przedwojennego stanu chlewnię i hodowlę drobiu. Tam, gdzie są jeziora rybne, eksploatuje to bogactwo w sposób tak pomysłowy, jak nikomu się dawniej nie śniło. Gdzie są lasy — potrafi w niezliczone sposoby użytkować na świeżo i konserwować grzyby, no i robi te niczem i nigdzie nie dające się naśladować — litewskie wędliny.

Stanowią one podstawę wybornych barszczów, botwinek i kapuśniaczek. Krupnik jęczmienny na półgęsku jest przysmakiem, godnym najwybredniejszego gastronomo. Kołduny z młodej baraniny, kiszki czarne z hreczanej kaszy, leszcze pieczone na słoninie, szczupaki faszerowane, pieczone w słoninie, kurczęta w potrawce z rakowym sosem, pasztety z dzikich kaczek — wszystko to przysmaki, zdolne zachwyć najbardziej wymagającego smakosza.

Z dań skromniejszych wymienię: jajecznicę na słoninie, a do tego młodą sałatę ze śmietaną. Bliny (racuchy) z żytniej mąki pyłkowej, ze skwarkami ze słoniny i gęstą, kwaśną śmietaną. Kluski kartoflane z „duszą“ — nadziewane słoninką z cebulką i polane topioną słoniną. No i nieodzowny dodatek do czerwonego barszczu — suchą kielbasą — szpekuchy. Te ostatnie, jak mówi nazwa, zapożyczone są od sąsiadów, Niemców bałtyckich. Są to wyborne pierożki drożdżowe, nadziewane znowuż słoninką z cebulą — kto ich nie jadł, nie ma pojęcia, jakie są smaczne!

Duże ilości nabiału, szczególnie śmietany i śmietanki, którą się jada na surowo z owocami i kisielami owocowymi — ulubioną kresową leguminą. Każda zupa, każdy sos obficie są zaprawiane śmietaną; ze śmietaną jada się wszelkie bliny i blinki, sałatę, mizerję i jedyną zimową surówkę — rzodkiew. Twaróg ze śmietaną z cukrem i cynamonem może zastąpić najlepszą leguminę.

Chciałam jeszcze napisać kilka ciepłych słówek pod adresem ogórków z miodem, lecz wiem, że wywołam protest wszystkich pozostałych dzielnic Polski, których mieszkańcom radzę jednak spróbować chociaż raz tej potrawy. Ogórki powinny być z lodu, a miód płynny — lipcowy. Nektar i ambrozja!

Pani Elżbieta.



KRUPNICZEK Z PÓLGĘSKA.

Półgęsek wędzony namoczyć na noc w zimnej wodzie. Ponieważ półgęsek, czyli wędzona pierś gęsi, jest rzeczą dosyć cenną, na krupniczek używa się zwykle wędzonych udek gęsi. Jeżeli mamy te udka podać następnie na potrawkę, należy wziąć tyle udek, ile osób siada do stołu, gdyż udka przy wędzeniu bardzo się kurczą i stanowią nieduże porcyjki. Nastawić półgęski z włoszczyzną, jak na rosół, przy czem należy włożyć sporo marchwi, aby swą słodyczą zneutralizowała nieco ostry smak wędliny. Oddzielnie nastawić (na 5 do 6 osób) 15 deka kaszy jęczmiennej lub drobnej perłowej, uprzednio również na noc namoczonej w zimnej wodzie. Gotować wolno i długo, aby się kasza dobrze rozkleiła, włożyć łyżkę masła; mocno wybijać łyżką, aż się zrobi biała i kleista. Nie solić wcale, gdyż po pierwsze — od soli kasza czerwienieje, powtóre — rosół z półgęska może się okazać za słony i przez połączenie z niesoloną kaszą dopiero nabierze właściwego smaku.

Gdy mięso i kasza miękkie, rosół przecedzić, zmieszać z kaszą, raz zagotować, przelać do wazy na przygotowany w niej, usiekany koperek. Można krupniczek taki zabielić śmietaną, wlewając kwaterkę jej wprost do wazy, jednak zupa ta jest tak esencjonalna i pożywna, że bielenie jej uważam za zbędne. Ugotowany półgęsek lub udka porąbać na ładne, równe kawałki, obrobić niemi purée kartoflane, fasolkę lub groszek zielony, polać gęstym, chrzanowym sosem ze śmietaną. Można też kawałki półgęska podać wprost w zupie, a do nich, na talerzyku, chrzan z octem, lub szczypiorek drobno pokrajany, też z octem.

KLUSKI Z DUSZĄ.

Pospolita wiejska potrawa kresowa, bardzo smaczna. Czterdzieści deka wędzonej słoninki pokrajać w niezbyt drobną kostkę. Tyleż cebuli drobno pokrajać i udusić z łyżką szmalcu, podlewając od czasu do czasu łyżeczkę wody, aby się cebula zanadto nie zrumieniła. Do cebuli wrzucić słoninę i tylko wymieszać dobrze, nie smażyć więcej, osolić do smaku, popieprzyć (kto lubi, może dosypać majeranku), ostudzić. Zrobić ciasto, jak na zwykle kluski z gotowanych kartofli, dodając mąki pszennej i dowolną ilość jaj. Na tę ilość słoniny wziąć około trzech kilo kartofli, brać po kawałku ciasta, rozplaszczyc na rękę, położyć łyżeczkę słoninki z cebulą, zacisnąć brzegi, uformować w kształt kulki. Gdy wszystkie zrobione, gotować na osolonym wrzątku, jak zwykle kluski. Na półmisku polać topioną słoninką ze skwar-kami.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Pani I. K. — Poznań. — Niech Sz. Pani zwróci się do Działu drobnych hodowli przy Centr. Tow. Roln. (Kopernika 50 w Warszawie) — albo do Zarządu Łazienek Królewskich (Agri-kola 9), lub do zarządzającego Ogrodem Saskim W-go Pana Darnielewicza (w Warszawie — Ogród Saski).

Pani z prowincji. — Na zapytania zarówno z dziedziny dentystryki, jak i kosmetyki, znajdzie Sz. Pani odpowiedź p. dr. Świtalskiej w „Kulturze Ciała“ (odpowiedzi Redakcji).

Falbanki do firanek z markizety muszą być proste, zakończone obrębką z ręcznej mereżki.

Pani St. S. — Witkowo. — Trzeba umyć sztućce w wodzie z amonjakiem, a następnie polerować skórą zamszową. Książeczka odpowiednia nosi tytuł: „O czyszczeniu przedmiotów domowego użytku“. Znajdzie Sz. Pani w tym zeszytzie dużo pożytecznych wskazówek. „Kobieta w świecie i w domu“ nie daje obecnie zniżek. „Bluszcz“ zachował je.

Pani J. M. — Końskie. — Adres doskonale prowadzonej szkoły koedukacyjnej na powietrzu: Konstancin — Willa Leonówka pod Warszawą. Opieka troskliwa zapewniona, warunki zdrowotne pierwszorzędne.

WYTWORNE PANIE!!!

UŻYWAJĄ DLA DYSKRETNYCH PŁÓKAŃ

DAMOSAN



ESENCJĘ
KOSMETYCZNO-
ANTYSEPTYCZNA

ORYG. WYRÓB FIRMY HENRYK ŻAK, POZNAŃ.

295

UNIwersytecka Szkoła Pielęgniarek i Higjenistek

w Krakowie otwiera nowy kurs dnia 1 września 1950 r. Nauka trwa 2 i pół lat. Przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie: 6 klas gimnazjalnych, lub równorzędne. Zgłoszenia: Dyrekcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higjenistek w Krakowie, Kopernika 25.

300

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr. Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Zanim klamka zapadnie.

Ogromnie zainteresowała mię kwestja polemiki w „Naszej Mównicy“ o artykułach Nr. 141 i 142.

Przeczytałam w „Naszej Mównicy“ dwa artykuły, traktujące z odmiennych punktów widzenia jeden temat: karalność przerywania ciąży. Nie mogę się powstrzymać, aby paru słów nie dorzucić do tej ciekawej, a z tak różnych punktów widzenia traktowanej sprawy.

Osobiście czuję się dotknięta i oburzona tem, aby kobietę w tym wypadku brano tak za nawias, by w sprawie kobiecej ustanawiano paragrafy, nie pytając o radę w tym względzie rzeczoznawców-kobiet. Potraktowano tu kobietę, jak jakieś narzędzie do rodzenia dzieci, a chyba ona sama, najwięcej zainteresowana w tej sprawie, jakieś ważne słowo dorzucić powinna. Nie żyjemy przecież w wieku niewolnictwa! Sama bardzo kocham dzieci, ale nie uznaję wcale zasady nieograniczonego ich rodzenia. Zależy to, oczywiście, od warunków, w jakich jest dana kobieta. Bo, o ile chodzi o kobiety zdrowe i silne fizycznie, żyjące w dobrobycie, uważam, że byłoby wtedy zbrodnią z ich strony pozbawiać się płodu z powodów błahych, np.: aby nie stracić figury, nie zbrzydnąć, aby móc się bawić, lub podróżować.

Przeważnie jednak mówi się tu o kobietach z szarego ogółu, którym nie te powody każą przerywać ciążę, lecz względy ważne, odbijające się na ich życiu, egzystencji całej rodziny i nawet na przyszłości i trwałości ogniska domowego.

Mogę opisać przykład bardzo smutny z życia mojej najbliższej rodziny. Dowiedzie on, że wywody p. M. S. w artykule: „Nazwijmy rzecz po imieniu“, w którym autorka każe poświęcać się kobietom, jak bohaterom dla Ojczyzny, lub górnikom w kopalni, są conajmniej frazesami, w myśl przysłowia: „Syty głodnemu nie wierzy“.

Otóż bliska moja krewna, mając lat 18, wyszła zamąż, za człowieka, który, zdawało się, miał wszelkie dane, aby jej życie popłynęło spokojnie i szczęśliwie, jednak w pożyciu małżeńskim okazał się brutalnym, tyranem i dziwnie zmysłowym. Uważał sobie za bohaterstwo, mieć jaknajwięcej dzieci i nigdy nie pozwalał przerwać ciąży. W ciągu 16 lat pożycia kobieta owa albo była w odmiennym stanie, albo rodziła, albo karmiła. I przez szereg lat tych męczarni urodziła 11-cioro dzieci i poroniła 3 razy! Organizm jej, nieoszczędzany, niepielęgowany, wyczerpany nadmiernie, coraz bardziej się osłabiał. Lekarze po 8-mem dziecku zadecydowali, że mąż powinien ją oszczędzać i że dzieci już mieć nie może, bo życiem to wkońcu przypłaci. Rozwinęła się u niej choroba wątroby, nie miała środków na leczenie, aż przy ostatnim zajściu w ciążę, udręczony organizm odmówił posłuszeństwa, nastąpiło poronienie, różne komplikacje i tak umarła, młoda, śliczna kobieta, zostawiając sierotami 11-cioro żyjących dzieci!

Tak, zginęła, jak bohater, podług p. M. S., wypełniając obowiązek kobiety-rodzicielki. Oddała swe młode życie.

Ale przyjrzyjmy się teraz odwrotnej stronie medalu. Mąż jej zdziwaczał po jej śmierci, nikogo z rodziny do wychowania sierot nie dopuścił. Dzieci zmar-

nowały się, kilkoro umarło na gruźlicę, bo na opiece służby zaniedbano ich zdrowie. Reszty dzieci nie kształcił, gdyż skąpił dla nich i nie chciał na ich kształcenie wydawać pieniędzy. Dziś są parjasami.

Czy w tym wypadku p. M. S. powie, że dobrze się stało, iż matka ich umarła, jako otiara obowiązku i poświęcenia za przeznaczenie kobiety? Ile szkody zrobiła śmierć jej, ile egzystencyj, nieprzygotowanych do życia, rzuciła na jego pastwę! Czyż tyle zmarnowanych istnień nie jest krzyczącą w niebiosy krzywdą? Czyż nie lepiej było mieć mniej dzieci, ale zachować przy życiu matkę, która mogłaby je starannie wychować? Ta historia, bolesna, lecz prawdziwa, bo na nią patrzyły moje oczy, mówi sama za siebie i komentarzy nie potrzebuje. Pełno jest w życiu takich tragedij, a mieszkając przez szereg lat w Zagłębiu, miałam możność obserwować nędzę klas robotniczych.

Czy p. M. S. da wiarę (a jednak to są znowu fakty), że zony robotników podczas połogu, niejednokrotnie, zamiast prześcieradeł i ceraty, podkładają na łożko worki, gdyż brak im bielizny i najzwyklejszych środków, już nie kultury, ale najprostszej higieny? Rezultatem są częste zakażenia, a dzieci tej okropnej nędzy rodzą się już z przeznaczeniem wiecznego chleractwa. Wystarczy spojrzeć na te wynędzniałe, wprost zwyrodniałe twarzyczki, blade i od dzieciństwa smutne, aby dojść do wniosku, że niepotrzebnie przyszedł na świat, te w „cieniu Czarnych skrzydeł“ urodzone dzieci. Czyż takiego potrzeba nam społeczeństwa?

Wynikiem nadmiernego rozrostu ludności w klasach pracujących, gdzie niema odpowiedniegożywienia, gdzie parę rodzin mieszka w jednej izbie, jest potem gruźlica, rachityzm, anemja i inne choroby, osłabiające przyszłe pokolenia. Myślę więc, że powinno być wolno kobiecie decydować o swem przyszłym potomstwie.

Protestujemy, bo my rodzimy, my cierpimy, nam z prawa należy się głos decydujący.

„Zagłębianka“.

By nie było podsądnych.

Ile razy słyszałam o młodocianych przestępcach, zawsze czułam smutek, na myśl o ich losie. Zastanawiałam się nad tem, jak się to dzieje i z czego się składa ich młode życie, robiące ich już w zaraniu wykołujeńcami. Dopiero, czytając artykuły „Mój Podsądny“ p. W. Grabińskiej, zrozumiałam powód nędzy moralnej i fizycznej tych biednych. Ile tam głodu, ile łez, ile złych przykładów otoczenia, opiekunów, a nawet rodziców! ile ciemnych nor mieszkalnych, ile wszystkiego złego. Setnej części złego za dużo, by spacyzyć podatną i wrażliwą duszę dziecka.

Mamy sądy dla nieletnich, o tyle łagodzące sprawę, że zamiast biurokraty-mężczyzny, zasiada kobieta, z bogactwem uczucia i wyrozumiałości, tak bardzo potrzebnych duszy dziecka. Wszystko to jest już krokiem lepszemu, a jednak, gdy pomyślę, że jedenastoletni Wicek lub dwunastoletnia Zosia mają już sprawę i z bijącym serduszkiem stoją przed sędzią, to płaczę i wstydzę się naprzemian. Płaczę nad dolą tych tysięcy dzieci polskich, niezających uśmiechów dzieciństwa, dla których nie mamy choćby najskromniejszych

mieszkań, nie mamy chleba, dobrego mleka, czystego łózka.

Dziecko przed czternastym rokiem życia nie powinno pod żadnym warunkiem zarabiać, choćby tylko sprzedawaniem gazet, kwiatów, lub napojów na dworcach kolejowych, gdyż właśnie to życie ulicy wyko-leja, spacza i prowadzi do sądu.

Gdyby kobiety, którym dola polskich dzieci nie jest obojętna, zechciały zainicjować „Przystań dla dziecka”, dałaby ona schronienie dzieciom, walęsającym się po ulicy bez opieki. Przystań dałaby dzieciom tym podstawę religijno-obywatelską, dziecko odzyskałoby równowagę duchową, poczem wybrałoby sobie zawód. Nie powinnyby się malca zmuszać do szewstwa, gdy on wolałby zostać ogrodnikiem, lub nadwrót. Przystań taka w każdym mieście powinna być pod opieką tych, które dają godzinę pracy społecznej „z miłości, a nie obowiązku”, zdanie, często ostatnio w naszej „Mównicy” powtarzane.

Przystań różniłaby się od domów poprawy tem, że nie byłoby zbyt dużo dzieci, ani zbyt ścisłych przepisów, które nie do każdego dziecka można zastosować. Byłoby tam kilka kobiet, otaczających dzieci opieką macierzyńską, daną z serca i z obowiązku, własnowolnie przyjętego. W dużych zakładach jest to niemożliwe, a biedotom tym bardzo potrzeba serca i atmosfery, podobnej do rodzinnej.

Gdyby myśl moja wzbudziła zainteresowanie i została zrealizowana, uratowanoby niejedno dziecko. A może która z Szanownych Pań poda inny projekt, jak i co robić, by nie było nieletnich podsądnych?

Róża Machónna — Poznań.

Macierzyństwo kobiety i jej praca.

Macierzyństwo nieślubne jest to gra zmysłów, wywołana gorącym uczuciem, rzadziej rachunkiem. Konsekwencja: to przypadek. Potępić się nie godzi, bo jakże potępić nieszczęście, ale nie można uznawać. Instynkt macierzyński nie może być brany pod uwagę, bo równocześnie z tym instynktem powstaje ku tej pożądanej istocie miłość, dająca błysk refleksji, że, zadość czyniąc sobie, jakąż przyszłość daje się nowemu życiu.

Między ludem jest to pęd natury, hamowany bojaźnią grzechu i wstydu. Tam niema poczucia etyki życiowej, tam niema analizy rozumowej, tam leży odłogiem tyle spraw bolesnych, wołających o sprawiedliwość, że i sądzić trzeba łagodniej. Tam potępić się winno panów i paniczyków, którzy z całą świadomością uwodzą dziewczęta, wynagradzając, w poczuciu krzywdy, gotówką lub krową, wyprowadzoną z obory. Sprawa „honorowo” załatwiona. A krzywda moralna? o tem się nie mówi.

Pro i contra macierzyństwa nieślubnego są tematem dyskusji w „Mównicy”. Każda z Pań, ze swego punktu widzenia, ma rację. Nie zgadzam się tylko z pojęciem, wyrażonem w zestawieniu, jakoby macierzyństwo ślubne było premedytacją gwarantowanego ojcostwa. Stanowczo nie. Jest to tylko zgóry podjęty obowiązek, bo dla zaspokojenia egoistycznego nie wolno narażać istoty trzeciej: dziecka. W imię obrony dziecka i matki, głosuję nie za uznaniem cywilnem i moralnem macierzyństwa nieślubnego, a za przywróceniem sponiewieranej rodziny, rozszerzeniem jej praw, wprowadzeniem faktycznie w całem tego słowa znaczeniu w życie teorii szczęścia i godności w małżeństwie i rodzinie.

Cóż może być idealniejszego, jak dobrane małżeństwo, związane silnym węzłem, taką maleńką, kochaną kruszynką, jak dziecko? A czyż dziecku może

cośkolwiek zastąpić dom rodzinny, gdzie miłość i szacunek stwarzają atmosferę ciepłą i pogodną, jako najdoskonalszy system wychowawczy? Widzę w tej chwili uśmiechy i pytania: gdzie te rodziny? Prawda, prawda niewiele takich, przyznaję w zupełności. Ale w miarę zdobywania cywilizacji i kultury, winniśmy podnosić i kulturę ducha, a więc doskonalić się. Nie szukajmy praw i wyzwolenia w naśladownictwie poniżenia godności człowieka, a w jej dźwiganiu ku lepszemu.

Małżeństwo nie powinno być giełdą, frymarczeniem finansowem, koligacją, stanowiskiem, chwilową podniętą zmysłów, a musi być oparte jedynie na głębokiem uczuciu i szacunku.

Poczucie moralności obowiązywać winno równomiernie obie strony. Jeżeli w krajach kulturalnych uznano jednożeństwo, jako najwłaściwszą formę związku i jeżeli kobiecie w 80 procentach, a może i w 90 procentach, wystarcza jeden mąż, czemuż nie jest to obowiązujące dla strony drugiej? Dlaczego opinia toleruje niewiernego męża, a potępia niewierną żonę? Argument wysuwany, że za nieskazitelność domowego ogniska odpowiada tylko żona, jest czczym frazesem, wymyślonym przez mężczyzn, ku ich wygodzie.

Wpajac się winno w chłopców i w dziewczęta, że zdrada w małżeństwie, po za tragedją rodzinną, uwłacza godności osobistej, jaką każdy obowiązany w sobie szanować. Wprowadzić trzeba też w system wychowania chłopców poczucie honoru, że nietylko ten jest złodziejem, kto zostaje złapany na gorącym uczynku. Należy już do przesądów dawne twierdzenie, że mężczyzna, ze względu na zdrowie, musi zaspokoić zmysły. Właśnie z tej tolerancji, często najlepszy chłopiec padał ofiarą, wnosząc do założonej przez siebie rodziny chorobę, unieszczęśliwiając siebie i swoich najbliższych, nieraz bardzo kochanych.

Rozpatrując różnorodne krzywdy kobiety, ujmując sprawę bez uprzedzeń, dochodzi się do wniosku, że w wielu wypadkach nie męczyzną winić się powinno, a krytycyzm i apel do pracy nad sobą skierować ku kobiecie. Wyzbyć się trzeba, między wieloma innymi słabostkami, i tej nierozsądnej ambicji odbijania narzeczonego narzeczonej, najdroższej przyjaciółce, albo też nieprzyjaciółce męża, i t. p. kwiatków.

Wychodząc z założenia, że najsilniejszą satysfakcją życiową jest spełnienie obowiązku, chcę jeszcze poruszyć kwestję pracy zarobkowej poza domem, nie ujętą we właściwą formę, często wprowadza konflikt w rodzinę. Do pracy poza domem często upoważnia kobietę chęć podniesienia dobrobytu osobistego, lub rodziny. Wyjątkowe zdolności i wykwalifikowanie w danym kierunku nietylko upoważnia, ale zobowiązuje kobietę do pracy zarobkowej lub społecznej, bo jako dzielna pracownica, spełni podjęty obowiązek uczciwie i fachowo, ku pożytkowi Ojczyzny i społeczeństwa. A równocześnie nie jest wcale koniecznością, aby kobieta pozbawiała się tak lubianej kobiecości, w dodatkiem tego słowa znaczeniu.

I wierzę, że, o ile praca będzie rzeczowa, zespoli się i pogodzi z nią mężczyzna.

Niech jednakże kobieta strzeże się stawiania siebie na piedestale. Niech nie wydziera pracy, lub stanowiska mężczyźnie, lecz żąda sprawiedliwego oceniania swych zdolności i kwalifikacyj.

Głosy panów to nader miły objaw. Tyle jest wspólnych zagadnień, a tak mało porozumienia i zrozumienia. I zacznie się rozgrywka z właściwym partnerem, w otwarte karty.

Z wrogiem pójdziemy na bój, ze sprzymierzeńcem ręka w rękę, ku lepszej przyszłości.

Marja z nad Warty.